

BOLESŁAW MICHAŁ
NIECZUJA-OSTROWSKI

DROGI MIŁOŚCI BOŻEJ



Wanda i Maria Sierafoni
od ojca - autora

BOLESŁAW MICHAŁ NIECZUJA-OSTROWSKI

DROGI MIŁOŚCI BOŻEJ

Młodzieńcy mojej córce Wandzie Marii z ob. Młodzieńcy-
Ciotrówskich Sierafonów i jej Brzygierówna Felicie Matylinów
Marianów - prześlany z gonią prastą ię prace -
ufny, że odumyję ją młodzi i prześlany
obediencie swoim, podobnie, jako i dymie,
obroży godną, podobnie, ci dymie - - - Palak!

oddany wam na zawsze

Wzrost Kobiety i jej

B. M. Niecuj - Ciotrówski / gen. l. 1943

Elbląg, 6. mar. 1943

BOLESŁAW MICHAŁ NIECZUJA-OSTROWSKI

DROGI MIŁOŚCI BOŻEJ

GEMINI 1993

© Copyright by Bolesław Michał Nieczuja-Ostrowski, 1993

Redakcja
Stanisław Piwowarski

Korekta
Henryka Salawa, Jadwiga Zielińska

Redakcja techniczna
Jadwiga Zielińska

Projekt i wykonanie okładki
Studio Pasaż
Kraków, ul. Lubicz 3 A, tel. 21-80-58

Na okładce ryngraf
opisany w rozdziale „Na szlaku bojowym 1939 roku”
Fot. Jerzy Lanoda

Printed in Poland

Wydawnictwo GEMINI, Kraków 1993
30-955 Kraków 14, skrytka pocztowa 83
Wydanie I. Nakład 500 egz.

Przygotowanie do druku za pomocą programów:
EDVEN, Ventura Publisher 3.0 (kroje Palatino, Trajan)
Wydawnictwo Naukowe DWN
Kraków, ul. Wrocławska 37a, tel. 33-93-33, w. 401

Druk i oprawa
Oficyna Wydawnicza AGAT-PRINT
30-602 Kraków, ul. Urocza 26, tel./fax 66-76-94

ISBN 83-900875-0-2

„Chcę, by cały świat wiedział, że ja jestem Bogiem Miłości,
Przebaczenia i Miłosierdzia”

(Jezus do Siostry Konsolaty)

„Mów światu o moim Miłosierdziu. Niech pozna całą
ludzkość niezgłębione Miłosierdzie moje”

(Jezus do Siostry Faustyny)

WSTĘP

Zanim zdecydowałem się na to, co w tej chwili czynię, wielokrotnie zastanawiałem się, czy — po pierwsze — mam prawo i obowiązek przekazać bliźnim to, co w życiu swoim uważam za istotne, znaczące i wzniosłe, dodam jeszcze, odsłaniające ludziom rąbek tajemnej siły i potęgi, które zazwyczaj nazywamy nadprzyrodzonymi, dotyczących nieznanego wszechświata i wieczności. Po drugie — czy wydarzenia, o których napiszę, świadomy prawdy i głębi ich znaczenia, trafią nie tylko do serc ludzi dobrej woli, ale także do rozumu tych, co niemal wszystko podają w wątpliwość.

O tym, co napisałem, zdecydowały przede wszystkim jakieś silne, nie dające mi spokoju naciski wewnętrzne, a także opinie i (jestem tego pewien) szczerze słowa zachęty kilku ludzi nie tylko dobrej woli, ale i światłego rozumu.

Może ktoś zapytać — kim jesteś ty, autorze tego, co napisałeś? Dlatego przedstawiam się.

Piszę jako człowiek wierzący, którego wiara w Boga, zrodzona w latach dziecięcych, potęgowała się i hartowała w wielu momentach mojego nie zawsze łatwego życia.

Od wczesnych lat marzyłem o tym, aby zostać żołnierzem. Patriotyczna atmosfera panująca w domu rodzinnym, rozmyślenia nad przebiegiem dziejów naszego bohaterskiego i męczeńskiego narodu, znana mi w pewnym stopniu przeszłość rodu, z którego pochodzę, ozdobionego herbem rycerskim Nieczuja, bogactwo ideałów czerpane bezustannie z wiary w Boga, a także z ideologii Związku Harcerstwa Polskiego, w której wyrastałem jako młodzieniec, pozwoliły mi sprawdzić moje „ja”, odkryć pewne swoje zdolności i ugruntowały w wyborze drogi życiowej.

Zostałem więc oficerem polskim, wychowywałem i szkoliłem przyszłych obrońców Ojczyzny, brałem udział w jej obronie w czasie kampanii 1939 roku. Podczas okupacji walczyłem w oddziałach partyzanckich Armii Krajowej. Po wojnie, aresztowany, przetrwałem w więzieniu wiele lat, także w celi śmierci.

Obecnie osiągnąłem wysoki stopień wojskowy i staram się dalej być wierny Bogu i Ojczyźnie, mając w pamięci wspaniałe hasło Polaków: „Bóg, Honor i Ojczyzna”, które pragnę zaszczyć w serca i umysły wszystkich pokoleń rodaków, także opisując przeżyte przeze mnie autentyczne wydarzenia.

Mając już w sercu decyzję utrwalenia na piśmie tego, co powinienem przekazać innym, zastanawiałem się z kolei nad tym, jaką przyjąć formę pisarską — literacką czy faktograficzną. Doszedłem do wniosku, że tylko opis faktograficzny jest właściwy. Dotyczy on bowiem zaistniałych w rzeczywistości wydarzeń, które są bezsprzecznie prawdziwe. Forma literacka, choć bardziej przystępna dla czytelnika, mogłaby w jakimś stopniu zagubić czy choćby przyćmić autentyczność przytoczonych faktów i wzbudzić wątpliwości w to, co z całą świadomością i z pełną rzetelnością podaje, czyniąc z autentycznych faktów fantazję literacką.

Staram się więc pisać możliwie prostym, zrozumiałym dla wszystkich językiem. Nie poświęcam za dużo miejsca wydarzeniom, które poprzedzają to, co chcę szczególnie w opisywanym epizodzie z mojego życia podkreślić.

Z wielką pokorą proszę Ducha Świętego o potrzebną mi do napisania tej książki światłość i umiejętność.*

* Znaczną część moich wspomnień poświęcam wydarzeniom, które miały miejsce w najtrudniejszym okresie mojego życia. Zostały one poprzedzone bardzo ciekawym w swojej wymowie snem. Krótco przed moim aresztowaniem śnił mi się Pan Jezus w swojej strasznej bóle konania, a następnie promieniejący wielką jasnością i pokojem. Sen ten był wyraźny, wstrząsający i wymowny. Rozbudziłem się wśród nocy, obudziłem moją żonę i opowiedziałem jej sen, którym byłem do głębi przejęty. Ten sen, jak się okazało, był dla mnie proroczym. Zapowiadał wielkie cierpienia, ale także szczęśliwe ich zakończenie. Był dla mnie w najtrudniejszych momentach pociechą, otuchą i nadzieją. (Przypisy od autora oznaczono gwiazdką, przypisy od redakcji cyframi.)

MATKO CUDOWNA LEŻAJSKA, ZNANA MI JEST TWOJA ŚWIĘTA ŁASKA...

Powołany przez Stwórcę do życia na naszej planecie ziemskiej, urodziłem się w niegdyś sławnym grodzie książąt halickich, w małym mieście dawnego województwa stanisławowskiego — Haliczu, jako pierworodny syn przezacnych rodziców: Anieli z domu Frank i Michała z rodu Nieczuja-Ostrowskich. Tu bowiem w Haliczu ojciec mój zaraz po zawarciu małżeństwa otrzymał swoją pierwszą posadę inspektora policji miejskiej. Tu także moja zacna matka w dniu 29 września 1907 roku urodziła mnie. Był to dzień świętego Michała Archaniola, patrona mojego ojca Michała, który uradowany był tym niezwykłym „prezenterem” od swojej żony.

Łatwo można się domyślić, że z tego powodu było „dużo radości i krzyku” w całym rodzie Ostrowskich, gratulacji, wiwatów i życzeń, zwłaszcza że urodziłem się w tak zwanym czepku na głowie, co według zapewnień „znawców” miało być dobrą prognozą na moją przyszłość. Czy tak było?

Na chrzcie świętym dano mi dwa imiona Bolesław i Michał. Pierwsze wypływało z uczuć patriotycznych moich rodziców, drugie nie tylko stąd, że urodziłem się w święto Michała Archaniola i że mój ojciec miał na imię Michał, ale także z głębokiej wiary moich rodziców w szczególną opiekę właśnie tego wodza wojsk anielskich.

W trzecim czy czwartym roku mojego życia zachorowałem ciężko na szkarlatynę i byłem bliski śmierci. Rodzice zmartwieni wielce czynili wszystko, abym powrócił do zdrowia, a będąc głęboko religijnymi szukali pomocy u Boga, a zwłaszcza u Matki Bożej. Moja przedobra matka zapewniała mnie wielokrotnie, że wyprosiła mi dalsze życie u Matki Najświętszej.

Choroba jednak pozostawiła po sobie ślad w postaci utrzymywania się stanu zapalnego w prawym uchu, stale gromadzącej się w nim ropy, na którą to dolegliwość żadne zabiegi lekarskie nie pomagały. W zakamarkach mojej pamięci zachowało się wspomnienie wizyt i zabiegów w klinikach: lwowskiej oraz krakowskiej, u różnych lekarzy specjalistów cieszących się sławą na terenie byłego zaboru austriackiego. Minęło wiele miesięcy, a ropa dalej wyciekała z ucha. Nie

pomagały nawet gorące modlitwy w intencji mojego zdrowia ślone do Pana Boga przez moją miłosierną i bogobojną matkę.

Rodzina nasza mieszkała w tym czasie w Łańcucie, gdzie ojciec był także inspektorem policji miejskiej. Pewnego dnia moja matka zabrała mnie ze sobą na zakupy i wtenczas właśnie jedna ze znajomych pań życzliwie zainteresowała się mną. Podobałem się jej jako dziecko. Matka moja wtedy powiedziała: „Cóż z tego, że jest ładnym chłopcem, kiedy jest kaleką” — i opowiedziała jej o mojej chorobie. Znajoma poradziła wówczas mojej matce, aby rodzice pojechali ze mną do zaledwie kilkanaście kilometrów odległego od Łańcuta klasztoru oo. Bernardynów w Leżajsku, gdzie w kościele znajduje się słynący łaskami i cudami obraz Matki Bożej Pocieszenia. Tam wiele ludzi otrzymuje łaski i doznaje uzdrowienia.

W jakiś czas później rodzice moi pełni wiary zawieźli mnie do tego Sanktuarium Maryjnego w dniu dorocznego odpustu. Był także z nami mój młodszy brat Zbigniew Mieczysław.

Klasztor oo. Bernardynów, okazały, pochodzący z XVI wieku* obiekt sakralny, umieszczony na niedużym wzniesieniu, otoczony z trzech stron lasem, musiał na mnie, dziecku, zrobić duże wrażenie. W tej świątyni ujrzałem obraz Cudownej Matki Boskiej Leżajskiej, pięknej Pani z Dzieciątkiem Jezus zapatrzonym w oblicze swej matki. Tu klęczałem obok swoich rodziców i brata, jak mi mówiła moja rodzicielka, z rękoma złożonymi, wpatrzony w święty obraz, skupiony i jakby zachwycony... Czy ja modliłem się? Zapewne tak, jak czynią to dzieci przyuczone przez swoje matki. Ale moi rodzice na pewno modlili się gorąco, błagali o moje uzdrowienie...

Ublągali Maryję! Po wyjściu z kościoła rodzice stwierdzili z wielką radością, że ropa zniknęła z ucha... i nigdy się już nie pojawiła.

* Kult Maryjny zakorzenił się tu w końcu XVI wieku, jak przekazuje przez całe pokolenia zachowana i powtarzana wieść. Mieszczanin, Tomasz Michalek, modląc się w lesie zobaczył niezwykłą jasność, a w niej Matkę Najświętszą, która przemówiła do niego tymi słowami: „Tomaszu, to miejsce obralam sobie, na nim cześć Synowi memu oddawana będzie i każdy człowiek mnie wzywający dozna mojej przyczyny. Idź do starszych miasta tego i rozkaż im tu kościół wybudować imieniem moim”. Michalek uczynił tak, jak Matka Najświętsza mu nakazała, ale nikt mu nie dowierzał. Udał się wreszcie do najbogatszego mieszkańca miasta, Kacpra Gluchowskiego, wyznania ewangelickiego, który gdy usłyszał prośbę Tomasza, chwycił za siekiere, aby go zabić — ale nagle został sparaliżowany. Wówczas zrozumiał, że to znak Boży, nawrócił się na wiarę katolicką, i za jego pieniądze powstał mały kościół w miejscu objawienia, pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. Poświęcony on został w 1508 r. przez arcybiskupa lwowskiego Dymitra Solikowskiego. Miejsce to stało się celem pielgrzymek dużych rzesz patryków. Powstała więc konieczność wybudowania większej świątyni, która głównie za sprawą biskupa przemyskiego Macieja Pstrokońskiego, a przy dużym wsparciu finansowym króla Zygmunta III Wazy zbudowana została na początku XVII w. jako okazały klasztor oo. Bernardynów. Obraz Matki Boskiej jest dziełem miejscowego artysty Erazma.

Sława łask płynących z cudownego obrazu Matki Boskiej Leżajskiej urastała z każdym rokiem i trwa stale. Obraz został koronowany za zgodą papieża Benedykta XIV w roku 1828, papież Pius XI w 1928 roku nadał świątyni godność bazyliki mniejszej, mając na względzie Sanktuarium Maryjne obfitujące w łaski Najświętszej Marii Panny trzymającej na rękach wpatrzone w Jej oblicze Dzieciątko Jezus.¹

Gdy wiele lat później zdawałem egzamin konkursowy do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, w czasie badania stanu zdrowia i stanu fizycznego podszedł do mnie pułkownik laryngolog, włożył do mojego prawego ucha wziernik i powiedział głośno do pisarza: „Błona prawego ucha zrosnięta”, o czym nigdy przedtem nie wiedziałem.

Siedząc długie lata w więzieniu, jako więzień polityczny, podobnie jak każdy człowiek udręczony znajdowałem pociechę i pokrzepienie w modlitwie. Nieraz cisnęły się różne wspomnienia z przeszłości; modlitwa wyuczona zamieniała się w rozmowę z Bogiem, z Maryją, ze świętymi patronami, a w pewnych momentach wytwarzała się potrzeba wyrażenia swoich uczuć jakąś szczególną modlitwą, wypływającą z głębi mojej duszy. Wówczas łatwo układały się słowa własnej modlitwy, takie proste, gorące i od serca. Właśnie w jednej z takich podniosłych chwil powstała modlitwa uwielbiająca Matkę Boską Leżajską. Utrwaliła się w moim umyśle w prostych rymach i rytmach dalekich od poetyckiej doskonałości, ale wówczas istotna, swoiście wymowna. Oto ona:

Matko Cudowna Leżajska, znana mi jest Twoja święta łaska.

Gdy mnie, dziecku, głuchota groziła, Tyś me ucho cudem uleczyła.

*Matko Cudowna Leżajska, Pani Prześliczna, do Ciebie biegnie ma dusza trwożna,
Boś Ty jest Matka czuła i można.*

W tym dniu szczególnej łaski okazanej mi przez Cudowną Matkę Leżajską wracaliśmy do Łańcuta uradowani, wzmocnieni w wierze w istnienie i dobroć Bożą... Matka moja, szczęśliwa i rozradowana, całowała mnie, a ojciec mój podkreślał co chwila węża i ze łzami w oczach, które starał się zataić, uśmiechał się miłośnie do mnie. Brat Zbigniew trzymał mnie za rękę i z podziwem spoglądał na mnie. Woźnica trząsał z bąta radośnie, konie parskały co chwila, a bryczka stukiała, wstrząsała nami, tocząc się po nierównym kamiennym gościńcu... To był jeden z najszczęśliwszych dni mojego życia i na pewno także ukochanych moich rodziców, choć sam, jeszcze wówczas będąc dzieckiem, nie zdawałem sobie z tego sprawy. To, że zostałem cudownie uzdrowiony, zapamiętałem na całe życie.

PRZYPISY

¹ Kacper Głuchowski był dzierzawcą dóbr leżajskich, luteraninem. Tknięty paraliżem i cudownie uleczoney, nawrócił się na katolicyzm. Ufundował drewniany kościół, w którym umieszczono obraz Matki Boskiej namalowany w drugiej połowie XVI wieku przez Erazma Prezbitera, księdza z zakonu Bożogrobców w Leżajsku. Dom Bożogrobców w Leżajsku był filią zakonu Bożogrobców w Miechowie, co należy podkreślić ze względu na dalsze losy cudownie uleczonego dziecka — późniejszego inspektora Inspektoratu Rejonowego AK, kryptonim „Maria”, działającego na terenie ziemi miechowskiej.

NA SZLAKU BOJOWYM 1939 ROKU

Wojna zastała mnie w Różanie nad Narwią, w Ośrodku Wyszkozenia Rezerw Piechoty, gdzie jako oficer służby stałej pełniłem funkcję wykładowcy na kursach dowódców kompanii oficerów rezerwy. Z chwilą zarządzenia mobilizacji, zgodnie z planem MOB (mobilizacji), objąłem funkcję dowódcy 5 Kompanii Strzeleckiej w II Batalionie 115 Pułku Piechoty, wchodzącego w skład 41 Rezerwowej Dywizji Piechoty (Grupa Operacyjna „Wyszków”).

Nie wchodzę w szczegóły szlaku bojowego wspomnianej dywizji, który rozpoczął się obroną na linii Narwi i 115 Pułku Piechoty na przyczółku opartym na fortach i miejscowości Różan, a zakończył się kapitulacją z końcem września resztek dywizji pozbawionej amunicji, już na południu Polski w rejonie wsi Tereszpol Kukielki.

W czasie działań bojowych, w których uczestniczyłem w roku 1939, mimo częstego przebywania w gęstym ogniu karabinowym, maszynowym, artylerii, moździerzy i samolotów nieprzyjaciela, a w których jako dowódca musiałem wiele razy być widocznym celem dla wrogów, nie tylko że nawet nie zostałem zadraśnięty, ale doznałem wielu jeszcze innych łask Bożych, z których kilka postaram się w tym rozdziale przedstawić możliwie jak najbardziej treściwie.

Po zaciętych walkach z korpusem pancernym nieprzyjaciela w rejonie Różan i w Puszczy Białej pułk nasz w dniu 9 września trwał na pozycjach obronnych nad Bugiem w pobliżu miasta Wyszków. Pamiętam, że moja kompania miała przydzielony do dozoru i obrony bardzo duży odcinek. Po względnym spokoju w godzinach rannych, nagle na prawym skrzydle mojej kompanii usłyszałem gwałtowną strzelaninę z broni maszynowej. Biegnąc z moim poczetem bojowym na przelaj w kierunku zagrożonym, aby rozpoznać zaistniałą sytuację, zauważyłem leżący na polu ornym wytłoczony w metalowej blasze wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej (ryngraf). Szybko podniosłem go uradowany i już biegnąc dalej schowałem do górnej kieszeni bluzy oficerskiej.

Odtąd nie rozstawałem się z tym wizerunkiem Pani Jasnogórskiej, jest on w doli i niedoli przy mnie, chroni i umacnia w Bogu. W innym miejscu opisuję, jak dzięki temu ryngrafowi udało mi się wydostać z rąk wrogów po przejściu granicy czerwonej gwiazdy i połamanego krzyża w 1940 roku.

Dywizja nasza, prowadząc dniami i nocami w walkach opóźniających boje zawsze z przeważającymi siłami technicznymi i żywymi nieprzyjaciela, ponosząc duże straty w zabitych, rannych i zaginionych, dotarła do lasów w rejonie miejscowości Malinówka. Korzystając z chwilowego braku kontaktu z nieprzyjacielem, mając wyrzucone do przodu ubezpieczenia własne dywizja uporządkowała swoje oddziały. Z resztek osobowych pułków 115 i 116, które najbardziej ucierpiały w ciężkich walkach, zorganizowały się nowe kompanie w ramach batalionu. Mnie wyznaczono na dowódcę świeżo formowanej 2 Kompanii I Batalionu 116 Pułku Piechoty i znalazłem się na pozycji obronnej wysuniętej przed las w rejonie wsi Malinówka (jak się okazało, kolonii niemieckiej), dwoma plutonami w pierwszej linii w trzecim odwodzie. I pluton umieszczony na prawym skrzydle kompanii miał korzystne położenie, gdyż na przedpolu jego, na przestrzeni około 300 m, znajdowały się glinianki, praktycznie niedostępne dla broni pancernej.

Natomiast II pluton miał położenie gorsze, bo na otwartej, o krótkim przedpolu płaszczyźnie, odgródzonej małym strumykiem obsadzonym olchami, a na zapleczu zaledwie kilka domków liczącej wsi, rozciągniętej w głąb tego zaplecza obronnego. Dla wsparcia tego plutonu osadziłem, wkopany za dość dużym pagórkem w pobliżu I plutonu, ciężki karabin maszynowy, uzbrojony w taśmy amunicyjne z przeplatana amunicją przeciwpancerną. Przy I plutonie było moje stanowisko dowodzenia. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu na nieprzyjaciela, w którym to czasie żołnierze zdążyli się wykapać w pobliskim stawie oraz wygłodniali i utrudzeni, spożyć obfity obiad, koło południa natarł na nas silny oddział pancerny nieprzyjaciela. Dwa czołgi niemieckie zatrzymały się nad gliniankami i otwały ogień na stanowiska I plutonu, jeden z działka, a drugi z karabinu maszynowego. Reszta czołgów skierowała się na pozycje II plutonu, ostrzeliwując go silnie. Nasz karabin maszynowy, niewidoczny dla wrogów, otworzył ogień, tworząc zaporę ogniową przed II plutonem — ale nagle zamilkł, przestał strzelać.

Zaniepokojony jego nagłym milczeniem, w momencie szczególnego zagrożenia II plutonu wyskoczyłem z okopu i mimo ognia nieprzyjacielskiego dopadłem szczęśliwie do stanowiska karabinu maszynowego. Okazało się, że karabin miał zacięcie, z którym rezerwiści nie mogli dać sobie rady, a które przy mojej pomocy zostało szybko usunięte i karabin ku radości obrońców zaczął znowu prowadzić skuteczny ogień, hamując natarcie niemieckie.

Zadowolony, biegiem dopadłem z powrotem do okopu I plutonu. Tutaj spostrzegłem wyraźne zdumienie i zaniepokojenie na twarzach zarówno porucznika Gerlacha — dowódcy plutonu, jak i żołnierzy mojego pocztu. Zawolałem więc: „Co się stało?” Wówczas dowódca plutonu wskazując ręką na moje nogi i starając

się przebić głosem wrzawę spowodowaną walką krzyknął: „Czy pan ma zdrowe nogi?” Odkrzyknąłem: „Tak!” — i na dowód podskoczyłem kilka razy...

Okazało się, że obserwując mnie, w pewnym momencie zauważyli, jak między moimi nogami przeszła seria pocisków świetlnych z czołgu. Spojrzałem na dół mojego płaszcza, który w czasie alarmu włożyłem na siebie — był przestrzelony!

Dziękuję Ci, Matko Najświętsza, znowu ocalałaś mnie. Było to tak nadzwyczajne, że na chwilę zapomniałem o tym, co się dzieje na naszym przedpolu, zapomniałem o walce. A tymczasem II pluton pod naciskiem zmasowanego ognia nieprzyjaciela, a następnie zbliżających się czołgów zaczął wycofywać się pod osłoną wsi w kierunku lasu. Także i ja, widząc okrążające nas czołgi, nie mając wsparcia ani ognia artyleryjskiego, ani broni przeciwpancernej, zmuszony byłem dać rozkaz dla I plutonu do wycofania się w kierunku lasu, aby nie dać się rozjechać czołgom. Po zdaniu meldunku dowódcy batalionu i uporządkowaniu kompanii, która jak się okazało, wyszła z walki bez większych strat, zajęliśmy stanowiska na skraju lasu. Niemcy po zdobyciu naszych pozycji nie odważyli się nacierać, a wycofali się, zostawiając jeden uszkodzony czołg przed stanowiskami mojej kompanii i kilka czołgów rozbitych przez jedyne nasze działko przeciwpancerne, ustawione przy szosie koło stanowisk dowódcy batalionu.*

Z końcem września resztki 41 Rezerwowej Dywizji Piechoty marszem nocnym dochodziły do miejscowości Kukielki, wykorzystując przy pierwszych blaskach świtu pobliski las. Ja ze swoją kompanią szedłem w straży przedniej, gdy nagle szpica zatrzymała się. W chwilę później przybiegł goniec meldując, że szpica zajęła stanowiska na skraju lasu tuż przy szosie, po której posuwa się duża kolumna wojska niemieckiego. Z kolei zameldowałem o tym dowódcy batalionu, wydając równocześnie szpiczy rozkaz zamaskowania swojej obecności i zachowania ciszy — pozostała część kompanii ubezpieczyłem się, zajmując stanowiska od strony wschodniej.

Dowódca dywizji, gen. bryg. Wacław Pickarski, skierował na linię lasu wzdłuż szosy 114 Pułk Piechoty. Za kilkanaście minut oddziały nasze otworzyły silny ogień na ciągle posuwającą się kolumnę niemiecką, powodując duże zamieszanie i straty u zupełnie zaskoczonego nieprzyjaciela. Wkrótce jednak Niemcy opanowali sytuację, skierowując przede wszystkim ogień ciężkich dział artyleryjskich na nasze pozycje.

* Następnego dnia, skoro świt, z częścią mojej kompanii szturmem przepędziliśmy pozostawiony na noc oddział styczości wroga, znajdujący się w zaroślach na prawym skrzydle naszej pozycji. Zupełnie zaskoczony, nieprzyjaciel poniósł ciężkie straty osobowe. Z kolei przepędziliśmy całą naszą kompania, brawurowymi natarciami, wspartymi w końcowej fazie naszym ogniem artylerii, przybyły na pomoc ocalałym szczątkom kompanii, którą szturmem rozbiliśmy — cały batalion zmotoryzowany Niemców! Odnieśliśmy piękne zwycięstwo, które bardzo podniosło nas na duchu. Dowódca pułku w obecności dowódcy batalionu po bitwie udzielił pochwały zwycięskiej kompanii. Miałem okazję podziękować: „Ku chwale Ojczyzny, panie majorze!” Jak później się okazało, przyznano Krzyż Walecznych dla dowódcy kompanii. Jako dowódca kompanii wiele wówczas przeżyłem, wiele wówczas musiałem wykazać energii i opanowania... wiele razy koło mego ucha świstały pociski, ale i tym razem Maryja Panna mnie strzegła.

I znowu uniknąłem śmierci. Właśnie po sprawdzeniu stanowiska ckm-u, którego zadaniem była ochrona naszego lewego skrzydła, idąc w kierunku stanowisk szpicy drogą leśną wchodzącą w mały jar, będąc zaledwie kilkanaście kroków od stanowiska ckm-u, usłyszałem nagle za sobą potężny wybuch pocisku artyleryjskiego. Szybko oglądnałem się i ujrzałem stanowisko ckm-u zniszczone. Siły zatrzymanej kolumny wroga zaczęły otaczać nasze pozycje. Otrzymaaliśmy rozkaz wycofywania się — szedłem teraz w straży tylnej batalionu.

Tego samego dnia zostaliśmy okrążeni przez dwie dywizje niemieckie i jedną sowiecką. Ta ostatnia, posuwając się za Niemcami odchodzącymi za San, obejmowała władzę komunistyczną po linię właśnie tej rzeki. Wrogowie Polski dzielili się naszym pięknym krajem, dopełniając czwartego już rozbioru...

Co się działo w naszych polskich sercach w tym czasie — trudno opisać. Dywizja, która przez cały miesiąc mężnie znosiła trudy walki opóźniającej w codziennych bojach z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, krwawiąc obficie, zmniejszona do jednej trzeciej w stanach liczebnych swoich pułków, pozbawiona amunicji i jakiegokolwiek wsparcia z zewnątrz, musiała w końcu ulec przewadze wrogów, a zachowując honor i życie pozostałych swoich żołnierzy — musiała skapitulować.

W DRODZE DO LWOWA

W dniu kapitulacji resztek naszej dywizji w 1939 roku, z rozkazu dowództwa — kompania moja została wyznaczona do złożenia broni w pierwszej kolejności, jako oddział gwarantujący dopełnienie warunków kapitulacji przez nasze dowództwo wobec nieprzyjaciela (zakładnicy).

Szliśmy w szyku zwartym, oficerowie na czele kompanii, wszyscy przygnębieni bardzo. Wielu z nas miało łzy w oczach, a nawet płakało. Ja idąc na czele kompanii zauważyłem już z pewnej odległości punkt zdawania broni, który był umiejscowiony na skrzyżowaniu dróg. Widoczne były stanowiska dział i karabinów maszynowych skierowanych w naszą stronę i grupa Niemców oczekujących na nas. Gdy zbliżyliśmy się do nich, przeszedłem wzdłuż kompanii, rozkazałem wyrównać szeregi, mówiąc: „Pokażmy Niemcom, jakim jesteśmy wojskiem”. Ostrą komendą zatrzymałem kompanię, sfrontowałem, sprezentowaliśmy broń i gromkim okrzykiem: „Czołem kompania!” — „Czołem, panie poruczniku!”, pożegnaliśmy się. Ci przygnębieni, zmęczeni, głodni, wspaniali żołnierze wykonywali wszystkie komendy jak na musztrze... Byłem dumny z nich, z moich podkomendnych. Niemcy patrzyli na nas z uznaniem, a znajdujący się między nimi nasi dowódcy sztabu dywizji z dumą i rozrzewnieniem...

Kiedy kilka lat później siedziałem w więzieniu komunistycznym zamknięty w jednej celi z generałem niemieckim, ten pewnego dnia powiedział do mnie: „Wasz żołnierz i nasz, gdyby poszli razem, zdobyliby cały świat”.

Teraz ten dzielny, utrudzony żołnierz polski, przygnieciony siłą ognia nieprzyjaciela, pozbawiony nawet amunicji do karabinów — składa je u stóp zwycięskiego wroga, ale nie z sercem złamanym, lecz z decyzją odwetu.

Podszedłem pierwszy, a podając pułkownikowi niemieckiemu pistolet i wyciągnięte z kieszeni dwa ostatnie naboje do karabinu, który wcześniej rzuciłem w jakieś zarośla na ostatnim postoju, popatrzyłem Niemcowi w oczy. Musiały one mu coś powiedzieć, bo szybko opuścił swoje. Zabrano mi także hełm i lornetkę...

Po rozbrojeniu naszych oddziałów oddzielili Niemcy oficerów od żołnierzy, ustawili kolumnę marszową i pod „osłoną” bagnetów, powtarzając co chwila

okrzyk: „Los! Los!” — po dwóch dniach doprowadzili nas do Bilgoraja. Oficerów zakwaterowano w miejscowej szkole podstawowej, otoczonej drutami kolczastymi. Jeszcze pierwszego dnia naszego poniżenia podjąłem decyzję ucieczki. Gdy znaleźliśmy się za drutami, podszedłem do nich. Ku zdziwieniu miejscowej ludności Niemcy, którzy w poprzednich grupach jeńców nie dopuszczali nikogo do drutów, teraz nie przeszkadzali mieszkańcom podchodzić, rozmawiać z jeńcami, a nam przyjmować od nich jedzenie. Do mnie też podeszła miła pani i obdarowała mnie kilkoma kromkami chleba ze smalcem. Wzruszony jej darem, dziękując, zwierzyłem się jej, że mam zamiar uciekać, i poprosiłem o podarowanie mi cywilnego ubrania. Przyrzekła przynieść mi je o umówionej godzinie.

Wróciłem z tym małym, z sercem oddanym, zaopatrzeniem do izby szkolnej, w której ulokowani byli koledzy z naszego batalionu. Zwierzyłem się z zamiaru ucieczki. Oni jednak odradzili mi, ostrzegając, że poprzedniego dnia Niemcy złapali majora i kapitana ubranych po cywilnemu i rozstrzelali ich. Tę bolesną wiadomość podał kapitan lekarz z miejscowego lazaretu jeńców, który odwiedził kolegów w czasie mojej nieobecności. Mając takie ostrzeżenie postanowiłem uciec przy najbliższej okazji w czasie marszu, który powinien wkrótce nastąpić. Rzeczywiście następnego dnia nasza kolumna jeńców forsownym marszem posuwała się w kierunku zachodnim.

Koło południa Niemcy zatrzymali kolumnę, aby wydać jeńcom obiad. Czoło tej kolumny, w którego szeregach oficerów i ja się znajdowałem, zatrzymało się naprzeciw widocznej w odległości około 600 m, położonej na dość znacznym wzniesieniu, wsi Kocudza. Na najbliższym przedpolu, tuż przy szosie, zobaczyliśmy kopy siana, pasące się bydło i wpatrzonych w naszą kolumnę kilkoro pastuszków. Oczarowany tym sielankowym widokiem, który w ogóle nie przypominał wojny, zdecydowałem się ten postój wykorzystać do ucieczki. Coś ciągnęło mnie do tej wsi. Powiedziałem więc mojemu serdecznemu koledze, jeszcze z Różan, por. Tadeuszowi Ciałowiczowi, który był ze mną: „Wy idźcie dalej, jak chcecie, ja idę tam do tej wsi”. Natychmiast wyszedłem z kolumny kierując się powoli ku wsi. W duchu modliłem się o pomoc Bożą i o dziwo, mimo wielu kręcących się koło kolumny konwojentów, żołnierzy z bagnietami na karabinach, żaden z nich nie zatrzymał mnie, a przecież byłem cały czas widoczny, idąc na przelaj pod górę, do wsi. Gdy byłem tuż przed samą wsią, nadjechał na koniu nasz kapitan. Zapytałem go: „Panie kapitanie, dokąd pan jedzie?” On odpowiedział mi: „Niemcy na słowo honoru zezwolili mi pojechać do wsi po chleb”. Wchodząc już teraz szybko do wsi pomyślałem: „Ale ja słowa honoru Niemcom nie dawałem”. Niewidoczny teraz od szosy i kolumny niemieckiej, wpadłem do jednej z najbliższych chat, poprosiłem o cywilne ubranie, pozostawiając w zamian swój mundur i koc. Wziąłem podarowaną mi kobiałkę, do której włożyłem dokumenty i nieco pieniędzy, przykrywając je chlebem. Poprosiłem młodego gospodarza, dając mu 20 złotych, aby podprowadził mnie do następnej wsi, w kierunku Sanu. Miałem bowiem zamiar dostać się do miasta

Rudnika, położonego po drugiej stronie Sanu, gdzie lekarzem weterynarii był Jan Irzyk, mój szwagier, mąż mojej siostry Czesławy, a stamtąd przedostać się do Przeworska, do moich rodziców, gdzie też spodziewałem się zastać ewakuowane z Różan żonę Bronisławę wraz z córeczką Wandzią.

Odwieziony szczęśliwie do następnej wsi, położonej pod lasem, furmanką tamtejszego gospodarza pod pozorem, że wiezie chorego do lekarza, już w porze nocnej znalazłem się na przedmieściu Ulanowa. Tutaj przygarnięty przez życzliwych mieszkańców jednego z domków na przedmieściu, nakarmiony, dziękując Bogu za ocalenie, przespałem szczęśliwie noc.

Następnego dnia, skoro świt, w towarzystwie ułana, który również chciał przedostać się za San do stron rodzinnych, podeszliśmy w stronę jedyne w tej okolicy mostu na Sanie. Ku naszemu zaskoczeniu zobaczyliśmy czołgi sowieckie dojeżdżające do mostu i witającą ich radosnymi okrzykami gromadkę mieszkańców Ulanowa, przeważnie w jarmułkach, z czerwonymi chorągwiemi...

Poszliśmy więc drogami wzdłuż Sanu w nadziei, że gdzieś natrafimy na bród w rzece i przedostaniemy się na drugą stronę. Pewnego dnia dotarliśmy do wsi położonej tuż nad Sanem. Dwaj życzliwi mieszkańcy tej wsi wskazali nam płyciznę na rzece, ale gdy znalazłem się w połowie rzeki, nagle gwizd koło ucha uświadomił mi, że ktoś strzela do mnie z drugiego brzegu. Zawróciłem więc szybkimi ruchami nóg w wodzie i z dużym wysiłkiem szczęśliwie wydoostałem się na wysoki brzeg, z którego wszedłem wcześniej do rzeki. Jeszcze raz pocisk gwizdnął koło mnie, więc wskoczyłem do dołu, w którym skryli się wcześniej przewodnicy z ułanem. Ucieszyli się szczerze moim widokiem, gdyż sądzili, że zostałem zabity.

Po nieudanej przeprawie przez San szliśmy (razem z ułanem) trzymając się dróg bliskich rzeki... W końcu doszliśmy do Sieniawy, miasteczka położonego już niedaleko Przeworska, ale leżącego po drugiej stronie Sanu. Tu szczęśliwie trafiłem na znaną rodzinę żydowską, która знаła mnie od dziecka z Przeworska i która obawiając się Niemców uciekła za San. Teraz życzliwie zaopiekowali się mną i ostrzegli przed ich współwyznawcą, także pochodzącym z Przeworska, który już jako komunistyczny milicjant szukał mnie, aby wydać Rosjanom. Tutaj ukrywając się przez kilka dni, od przeprawiających się przez rzekę przemytników, znających moich rodziców, dowiedziałem się, że mojej żony ani córeczki nie ma w Przeworsku. Sądząc więc, że moja rodzina wracając z ewakuacji ze wschodu zatrzymała się we Lwowie u rodziców mojej żony, postanowiłem tam jak najprędzej dotrzeć. Zabrałem się z moimi opiekunami, którzy postanowili wyjechać do miasteczka Oleszyce, położonego bardziej na wschód, a stosunkowo niedaleko od Lwowa. Nie zauważeni przez czerwonych szczęśliwie dotarliśmy furmanką żydowską, także pochodzącą z Przeworska, do Oleszyc. Tu rozstałem się z moimi przyjaciółmi i autobusem dotarłem w końcu do Lwowa. Było to już około 10 października 1939 roku.

MARYJA WSKAZUJE MI DROGĘ

Po kapitulacji 41 Rezerwowej Dywizji Piechoty z końcem września 1939 roku i mojej ucieczce z niewoli niemieckiej — o czym wspominam w poprzednim rozdziale — po pewnych przygodach dotarłem do Lwowa. Tu u moich teściów spodziewałem się zastać moją żonę z córeczką, które były ewakuowane wraz z rodzinami wojskowymi na wschód. U teściów moich, Heleny i Bronisława Paklikowskich, nie zastałem jednak moich najbliższych, ale miałem nadzieję, że jeszcze przybędą do Lwowa. Zatrzymałem się więc u teściów, a w moim „ja”, poza tęsknotą za Bronią i Wandunią, wyzwalala się myśl o potrzebie dalszej walki o wolność Polski...

Początkowo toczyła się w moim sercu i myślach walka, czy mam zostać w kraju i tu działać w konspiracji, czy starać się przez Węgry przedostać do Francji, gdzie, jak się spodziewałem, organizowała się już Armia Polska. Do przedostania się za granicę namawiał mnie gorąco przybyły pewnego dnia do teściów podoficer rezerwy, przeworszczanin, pochodzenia żydowskiego, ale patriota polski. A gdy tak wahałem się, co zrobić, jednej nocy miałem sen, którego szczegółów już dziś nie pamiętam, ale z którego treści wynikało, że przejście przez granicę nie uda mi się. Zresztą zwyciężało we mnie przekonanie, że tutaj pod okupacją wrogów są potrzebni także oficerowie jako przewodnicy i dowódcy wojska podziemnego. Mój krajan rozstał się ze mną, gdy powiadomiłem go w końcu o mojej decyzji pozostania we Lwowie. Jak wyczułem, z pewną pogardą przyjął tę wiadomość, gdyż chciał iść ze mną. Być może sądził nawet, że brak mi odwagi. Co się z nim stało później, nie wiem.

Stosunkowo szybko udało mi się stworzyć zręby organizacji podziemnej, którą nazwałem: Polska Organizacja Wojskowa „Lwów”, i w której dzięki wielkiemu patriotyzmowi lwowiaków już w lutym 1940 roku miałem zorganizowanych 11 kompanii szkieletowych. Z końcem stycznia 1940 roku udało mi się nawiązać kontakt z pułkownikiem Janem Sokołowskim, pseudonim „Trzaska”, komendantem ZWZ okręgu Lwów.¹ Na jego żądanie musiałem przedstawić mu

wszystkich dowódców kompanii, a oni swoje stany liczebne, uzbrojenie i zadania. Wówczas zostałem mianowany przez niego komendantem miasta Lwowa. Do moich pierwszych wtajemniczonych, których zapamiętałem, należeli: Andrzej Paklikowski, mój szwagier, student medycyny (łącznik), kpt. Gustaw Bruchnalski, stomatolog (komendant głównego punktu kontaktowego), pđchor. Leszek Korzeniowski (łącznik) oraz Maria Voelpel (łączniczka). Główny punkt kontaktowy był przy ul. Mikołaja Zyblikiewicza 5.

Na przełomie lutego i marca 1940 roku zaczęły się aresztowania prowadzone przez NKWD, które potrafiło już w tym czasie zorganizować poważną siatkę konfidentów, rekrutujących się ze zwolenników komunizmu, mieszkańców Lwowa wszystkich trzech narodowości.

Bodaj dwa miesiące wcześniej, a było to, jeśli dobrze pamiętam, w noc wigilijną lub Nowego Roku, przeżyłem wraz z teściami takie „spotkanie” z NKWD. Nagły dzwonek koło północy zaalarmował nas już śpiących. Drzwi wejściowe poszła otworzyć Helena, żona doktora Bronisława Paklikowskiego, przekonana, że to ktoś przychodzi do lekarza. Usłyszeliśmy nagle ostrzegawcze słowa Heleny: „Panowie wojskowi”. Tuż za nią wszedł osłonięty bagnietami osadzonymi na karabinach enkawudzistów — oficer NKWD. Zdumieni i zaniepokojeni wizytą, wykonaliśmy wyraźne polecenie oficera NKWD i usiedliśmy; ja na tapczanie, na którym spałem, rodzice i szwagier Andrzej wyciągnięci z sypialni na krzesłach w pokoju, gdzie ja się znajdowałem. Funkcjonariusz NKWD zwrócił się najpierw do mnie i zapytał, kim jestem. Ja odpowiedziałem śmiesznym łamańcem polsko-ruskim, podając swoje imię i nazwisko, i wyjaśniłem, że jestem „bieżeńcem” z Warszawy. Dalsze pytania dotyczyły mojego zawodu i miejsca pracy. Odpowiedziałem, że jestem robotnikiem i pracuję w fabryce „Sidoł” w Warszawie (tak jakoś nagle wymyśliłem). Co to za fabryka i co to jest „Sidoł” — zabrzmiało następne pytanie. Odpowiedziałem, że to fabryka, w której wyrabia się proszki i płyny stosowane do czyszczenia metali, co zilustrowałem mu rękoma. Czy chcę zostać we Lwowie? — zapytał enkawudzista. Na to pytanie odpowiedziałem, że nie, bo chcę jak najwcześniej powrócić do żony i dzieci w Warszawie.

Dla lepszego zilustrowania mojej osoby muszę dodać, że wyglądałem dość mizernie, w podartej koszuli nocnej, zarośnięty i chyba sprawiałem wrażenie biednego „bieżeńca”. Ku naszemu zdziwieniu enkawudzista zamienił jeszcze kilka zdań z moim teściem, który będąc niegdyś w niewoli rosyjskiej jako wojskowy lekarz armii austriackiej władał dobrze językiem rosyjskim. Salutując, wreszcie wyszedł z żołnierzami z mieszkania, czym nas wszystkich uradował. Odetchnąłem z ulgą przede wszystkim ja, bo przecież przy bliższym dociekaniu enkawudzisty mogło się wydać, że jestem oficerem. Wówczas los mój byłby taki, jak aresztowanych tej nocy wielu oficerów... w najlepszym wypadku wywózka w głąb Rosji.

Szczęśliwie złożyło się, że teść mój, jako lekarz kolejowy (szef sanitarny Okręgowej Dyrekcji Kolei Państwowych we Lwowie), leczył tego enkawudzistę

oraz jego rodzinę, i to skutecznie. Miał sławę dobrego lekarza i jako potrzebny specjalista, mimo że był emerytowanym podpułkownikiem (dawny szef sanitarny Dowództwa Okręgu Korpusu Przemyśl), ocalał, a ja przy nim. Tak więc nie zostałem jeszcze rozszyfrowany przez wroga ani jako oficer, ani jako konspirator. O tym dopiero później dowiedziało się NKWD.

Przyszedł mi na myśl mój medalion z Matką Bożą znaleziony w boju, z którym się nie rozstawałem... i gorąco dziękowałem memu Stwórcy i Maryi za to ocalenie.

Głównym punktem kontaktowym organizującej się jeszcze Komendy Miasta był znajdujący się przy ul. M. Zyblikiewicza 5 gabinet dentystyczny lekarza stomatologa, dr. Gustawa Bruchnalskiego, wspaniałego Polaka, oddanego całkowicie ojczyściej sprawie. Wśród zmieniających się stale pacjentów kryli się często łącznicy, którzy dla rozpoznania posługiwali się odpowiednimi hasłami konspiracyjnymi. Tam też przez pewien czas był mój punkt dowodzenia.

Kontakt służbowy z Komendantem Okręgu utrzymywałem za pośrednictwem mojego szwagra Andrzeja i będącego z nim w łączności „Kadeta”, syna płk. dypl. Jana Sokołowskiego „Trzaski”. Syn pułkownika był wychowankiem Szkoły Kadetów we Lwowie i to z czasem stało się śladem podejrzeń NKWD. Znaleźli się informatorzy, którzy wiedzieli, że „Kadet” jest synem pułkownika polskiego. Śledzili więc go, zakładając, że musi on mieć kontakt ze swoim ojcem, powiązania z podziemiem polskim. Na przełomie lutego i marca 1940 roku wysłannicy NKWD wdarli się do mieszkania pułkownika i aresztowali „Kadeta”.² Na szczęście pułkownika nie zastali i został on na czas ostrzeżony. Tak więc kontakt tak ważny dla mnie został „spalony” i przez pewien czas miałem duże trudności w nawiązaniu kontaktu ze sztabem okręgu. Wkrótce jednak zaczęły się aresztowania. Ja, wyczuwając niebezpieczeństwo, przenieśliem się w tym czasie na kwaterę do stryja mojej żony, Zygmunta Paklikowskiego, gdzie cała rodzina otoczyła mnie troskliwą opieką. Tam zwerbowałem do organizacji narzeczonego Marysi Voelpel (córka drugiej żony Zygmunta) Leszka Korzeniowskiego, podchor. rez., który został moim łącznikiem.

W jakiś czas później NKWD wpadło na rewizję do stryjostwa, ale w czasie, kiedy mnie nie było w domu. Wkrótce potem został aresztowany Andrzej. Być może „Kadet” nie wytrzymał okrutnych metod śledztwa NKWD. Od tego czasu tułałem się po różnych „melinach” wspaniałych rodzin polskich, zmieniając je co kilka dni, pewny, że rozpoczęło się „polowanie” enkawudzistów i ich szpiclów na mnie. Dorywczo przebywałem u rodziny stryjecznego brata mojej żony, Kazimierza i Walerii Paklikowskich, u profesorostwa Voelplów i zakotwiczyłem się na pewien czas u przezacnej rodziny kaprała ułanów, których nazwiska niestety nie pamiętam, co wyznaję ze smutkiem. Mieszkali oni w suterenie w willi, której okna wychodziły na ulicę, lecz nazwy jej też nie pamiętam. Dozorczynią tej willi była wspaniała patriotka, wtajemniczona co do mojej osoby, która zapewniała mnie, że bacznie przygląda się wchodzącym do willi i przechodniom na ulicy... Oczywiście, że z wielką ostrożnością, ubogo ubrany, unikając sprężystego kroku wojskowego, lekko kiwając się nawet, zamaskowany nieco dość dużymi wąsami

i okularami, dosłownie prześlizgiwałem się wśród przechodniów idąc na punkt kontaktowy, gdzie spotykałem się ze swoim zastępcą i pocztm.

Pewnego mroźnego ranka lutowego 1940 roku przeżyłem, jak wierzę głęboko, dzięki opiece Matki Najświętszej następujące wydarzenie właśnie w tej willi. Jak zwykle wstaliśmy wszyscy wczesnym rankiem. Gospodarz wyszedł bardzo wcześnie zdobyć trochę opału, aby ogrzać mieszkanie. Zostałem sam w pokoju, który był równocześnie sypialnią wszystkich mieszkańców. Gospodyni też gdzieś wyszła, jedynie w kuchni o oszklonych drzwiach krzątała się koło dziecka gospodarzy ich 15-letnia kuzynka. Po nocy pozostały jeszcze nie zaścielone łóżka, a na stoliku przy oknie leżał mój płaski zegarek i samouczek do języka francuskiego, którego usiłowałem się uczyć w chwilach wolnych od kontaktów konspiracyjnych.

Spoglądałem właśnie przez okno i zauważyłem, jak gospodarz przy pomocy swojej żony ciągnie po wznoszącej się w górę ulicy sanki naładowane drzewem. Za chwilę usłyszałem w przedpokoju jakieś głosy, które wydawały mi się obce. Zaniepokojony, przyłożyłem ucho do szpary pękniętych drzwi i słysząc podniesione głosy, kierując się jakimś wyczuciem niebezpieczeństwa, schowałem się za boczną ściankę szafy. Zaledwie to uczyniłem, usłyszałem, że otwierają się drzwi do pokoju, oraz głos dozorczyń: „Tu nie ma nikogo”. Drzwi zostały zamknięte, jakieś ruchy w przedpokoju i chwilowa cisza. Wówczas zobaczyłem oddalających się od domu dwóch mężczyzn w skórzanych kurtkach i kaszkietach. Nagle wpadła do pokoju stroskana gospodyni i powiedziała: „Przed chwilą NKWD zabrało mojego męża i przybyłego szwagra; musi pan szybko uciekać, nim przyjdą na rewizję, bo o niej zapomnieli”. Dozorczyń wybiegła, by obserwować ulicę, i na jej znak wyskoczyłem z willi idąc w nieznaną, w przeciwnym kierunku niż enkawudziści.

Jak później się dowiedziałem, enkawudziści przyszli po raz drugi za kilka minut i przeprowadzili rewizję, którą według ich zasad powinni zrobić przed odprowadzeniem aresztowanych. I tak znowu dzięki Opatrzności zostałem ocalony...

Innym razem, gdy coraz więcej było aresztowań także pośród moich podkomendnych, usiłowałem po szczęśliwym nawiązaniu kontaktu z Okręgiem uzyskać pomoc finansową na zapomogi dla rodzin aresztowanych oraz dla zagrożonych aresztowaniem. Na spotkaniu z kwatermistrzem Okręgu otrzymałem przyrzeczenie takiej pomocy i za tydzień mieliśmy się spotkać w tym samym miejscu o ustalonej godzinie. Znakiem rozpoznawczym widocznym na zewnątrz, że można wejść do lokalu kontaktowego, miały być otwarte wewnętrzne ramy okna od strony ulicy i umieszczony tam flakon. Miałem przyjść na spotkanie w poniedziałek w porze południowej, używając umówionego hasła i sposobu pukania do drzwi. Lokal kontaktowy znajdował się na parterze kamienicy, gdzie po drugiej stronie za załomem korytarza mieścił się punkt sanitarny PCK. Kilka dni przed moim spotkaniem usadowił się tam jakiś oddział czy dowództwo Straży Granicznej, co rozpoznaliśmy po mundurach.

W oznaczonym dniu, kilka minut przed wyznaczoną godziną kontaktu, idąc po przeciwnej stronie ulicy stwierdziłem ze smutkiem, że znaku umówionego

nie ma. Okno było szczelnie zamknięte... Gdy po kilku minutach, idąc z powrotem, stwierdziłem znowu brak znaku zezwalającego na kontakt, aby nie wzbudzić podejrzania u tych, którzy mogli obserwować przechodniów, oddaliłem się z myślą, że przyjdę następnego dnia znowu. Nie mając możliwości innego kontaktu z Okręgiem, zmartwiony, modląc się po drodze, przechodziłem kilkakrotnie obok punktu kontaktowego w ciągu następnych dni, ale ciągle znaku zezwalającego na wejście nie było. Targany wewnątrz różnymi trwoźnymi myślami, a równocześnie poczuciem obowiązku wobec moich podkomendnych i przełożonych, postanowiłem jednak zaryzykować i pójść w sobotę na punkt kontaktowy.

W sobotę o umówionej godzinie, modląc się gorąco po drodze, mimo że znaku w oknie nie było, wszedłem przez otwartą bramę i bacząc pilnie, czy ktoś mnie nie widzi, z bijącym sercem stanąłem przed drzwiami mieszkania punktu kontaktowego i zapukałem kilka razy w umówiony sposób. Czekałem na otwarcie drzwi. Wreszcie usłyszałem głos osoby podchodzącej do drzwi. Gdy zostały otwarte, zobaczyłem — tę przezacną gospodynię i właścicielkę mieszkania naszego punktu. Szybko wypowiedziałem hasło i wsunąłem się do środka, zamykając drzwi za sobą. Ona — mężny żołnierz ZWZ — chwyciła mnie za rękę i podniecona powiedziała: „Niech pan ucieka stąd, niedawno temu odeszło stąd NKWD, a siedzieli cały tydzień”. Natychmiast wyszedłem z mieszkania i kamienicy, dołączyłem do licznych przechodniów, dziękując Bogu za jeszcze jedno ocalenie.

Nadszedł kwiecień, ciągle jeszcze zimny i mroźny nocami, śnieg bielił się jeszcze tu i ówdzie na ulicach. Byłem bardzo przygnębiony, w dalszym ciągu nie miałem kontaktu z Okręgiem, w miarę swoich możliwości podtrzymywałem ducha wśród moich najbliższych zakonspirowanych kolegów i przez swój kilkuosobowy sztab utrzymywałem kontakty z oddziałami zakonspirowanymi.

Tymczasem NKWD w dalszym ciągu tropiło mnie, uważając za wyższego dowódcę konspiracji. Kilka dni temu wpadli do jednej z moich jednodniowych kwater i znaleźli tam pozostawione przeze mnie buty gumowe. Mieli więc nawet opis mej osoby, na szczęście jednak niedokładny. Zmusiło mnie to do kontaktów raczej pod osłoną ciemności...

Dzięki oddanemu mi bardzo, dzielnemu i odważnemu dalekiemu kuzynowi mojej żony, Tadeuszowi Bałtała-Laudańskiemu, znalazłem schronienie u jego przyjaciół na poddaszu wielopiętrowej kamienicy. Gdy zaprowadził mnie tam ów kuzyn, zobaczyłem mały pokój, z okratowanym okienkiem, na ścianach kilka tykających zegarów, kominek zrobiony na wzór staroświeckich, a bliżej drzwi wejściowych fortepian, przy którym siedział i grał postawny mężczyzna. Drugi stojący przy nim śpiewał jakąś dość wesołą pieśń silnym barytonem. Przysłuchiwali się temu małemu koncertowi stojący przy fortepianie dwaj młodzieńcy, którzy szybko wyszli z pokoju. Gdy koncertujący panowie po chwili przerwali swój występ muzyczny, zostałem im przedstawiony i oddany pod opiekę, co kuzyn zaakcentował słowami: „Nie zróbcie mu krzywdy”. Po chwili odszedł, obiecując utrzymywanie ze mną co jakiś czas kontaktu.

Mili moi gospodarze okazali się artystami. Jeden z nich był baletmistrzem, a drugi artystą plastykiem. Byli dla mnie bardzo dobrzy, a ja starałem się im odwdziaczyć, przygotowując jedzenie i utrzymując czystość w tym małym gospodarstwie kawalerskim, podczas gdy oni byli w pracy. W dzień nie wychodziłem z mieszkania, aby nie zwracać uwagi także i lokatorów tej kamienicy. Mieszkałem z nimi przez kilka dni, informowany przez kuzyna o rewizjach przeprowadzonych ostatnio w rodzinach spokrewnionych z moimi teściami, gdzie wyraźnie pytano o mnie.

Z kontaktów konspiracyjnych dowiedziałem się o aresztowaniu doktora Gustawa Bruchnalskiego³ i kilku jego pacjentów. Wyniesiono go do karetki milicyjnej obłożnie chorego i przygotowywano proces pokazowy. Andrzej był w dalszym ciągu dręczony przez NKWD i groziła mu kara śmierci. Podobne wieści dochodziły o innych aresztowanych...

Siedziałem samotnie w izdebce artystów, moich przyjaciół, dobrych Polaków, dręczony wewnętrznie złymi przecuciami... Troska o całość organizacji, której powstanie wymagało przy ciągłym zagrożeniu wiele wysiłku i trudu... żał aresztowanych, bezsilność moja, urwany kontakt z Okręgiem... i ta wściekła gonitwa agentów NKWD za mną. Co miałem robić? Jak postąpić w tej sytuacji? Zdawałem sobie sprawę z mojego poważnego zagrożenia — byłem zupełnie zdekonspirowany... już blisko trzy tygodnie NKWD polowało na mnie... Logika nakazywała szybko opuścić Lwów, ale jak zostawić Komendę — czy znajdzie aprobatę ten mój „odskok” u dowódcy Okręgu, a także i u moich podkomendnych, czy nie posądzą mnie o tchórzostwo?... To byłoby najboleśniejse...

Pchnięty jakimś silnym wewnętrznym impulsem, ukląknę przed wiszącym na ścianie obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i w gorącej modlitwie szukałem pomocy w podjęciu trafnej decyzji, odpowiedzi na moje niepokoje i udreki... Nagle usłyszałem pukanie do drzwi, i to znakiem umówionym. Zerwałem się z klęczek i otworzyłem je. W drzwiach ujrzałem kuzyna ze zmartwioną twarzą. Po wejściu do mieszkania oświadczył mi stanowczo, że muszę jak najprędzej wyjechać ze Lwowa, i wręczył mi bilet do Białegostoku oraz adres pewnego plastyka, z listem od mego szwagra, Aleksandra Winnickiego.

W pierwszej chwili byłem zaskoczony tym, co oświadczył mi tak nagle kuzyn — szybko jednak skojarzyłem to z moją modlitwą i ze spokojem przyjąłem bilet i adres do Białegostoku. Od tej chwili nie miałem już żadnej wątpliwości — musiałem wydostać się ze Lwowa w kierunku granicy nowego rozbioru Polski ustalonego przez naszych wrogów.

Wiedziałem, że dworzec pozostaje pod silną obserwacją konfidentów, a także mundurowej milicji sowieckiej i dlatego postanowiłem jeszcze przed zapadnięciem zmroku przysposobić się do podróży, zmieniając nieco swój wygląd zewnętrzny. Poszedłem więc do fryzjera, zgolilem wasy, ostrzygłem włosy, ubrałem się w najgorsze ubranie, jakie miałem, aby upodobnić się do robotnika. Do worka włożyłem lepsze ubranie, bo po stronie niemieckiej trzeba było inaczej wyglądać. Stroju

mojego dopełniały stare buty i zrudziały od słońca kaszkiet, który pozwalał spod daszka spoglądać na otoczenie.

Skoro tylko zapadł zmrok, udałem się na kontakt z moim zastępcą, kapitanem służby stałej (pseudonimu niestety już nie pamiętam),⁴ który wiedział o moim poważnym zagrożeniu i poparł moją decyzję wyjazdu ze Lwowa, przejmując jednocześnie Komendę i moje polecenie szukania kontaktu z Komendą Okręgu.

Z prawdziwym żalem opuszczałem swoją zaszczytną funkcję i oddanych Polsce bohaterskich konspiratorów ZWZ miasta Lwowa. Powierając ich i siebie opiece Bożej, czując się bardzo osamotnionym, całą siłą woli mobilizowałem się wewnętrznie zdrażając na dworzec kolejowy.

Wkraczając z zaostrzoną uwagą do wnętrza tego pięknego dworca, który do niedawna jeszcze swoim dumnym napisem, umieszczonym na szczycie swojej zewnętrznej fasady, głosił w języku łacińskim: „Lwów zawsze wierny Polsce” — odniosłem wrażenie, że jest mi obcy, a nawet wrogi. W masie przerażonych, biednych ludzi czekających na opóźnione pociągi, czując na sobie pełne podejrzliwości spojrzenia milicjantów ubranych w mundury i po cywilnemu, wypatrujących zawzięcie „faszystów” i „szpionów”, przechadzałem się, zachowując dość swobodnie. Wmieszałem się w tłum ludzi i usiadłem jak inni na podłodze hallu stacyjnego. Udawałem śpiącego, lecz bacznie obserwowałem, co się działo naokoło. Obawiałem się bardzo legitymowania. Nie byłem nigdzie meldowany, a dowód miałem warszawski. Trudno by mi było usprawiedliwić moją obecność na dworcu lwowskim. Kilka godzin, z obawą w sercu i w stałym napięciu, przesiedziałem na dworcu, aż wreszcie późną nocą doczekałem się pociągu jadącego do Białegostoku. Wraz z dużym tłumem ludzi czekałem na wejście do wagonu, zanim „komandir wagona”, odpowiednik naszego konduktora, otworzył jedne tylko drzwi tego wagonu i zawołał: „Kto ma bilet z poprzedniego dnia?” Ponieważ ja taki bilet miałem, dość szybko znalazłem się w wagonie. Do wagonu przyjęto tylko tyłu pasażerów, ile było miejsc siedzących. Gdy wreszcie pociąg ruszył, odetchnąłem z ulgą.

Po wielogodzinnej podróży zajechałem szczęśliwie do Białegostoku, w którym nigdy nie byłem. Wychodziłem z dworca z myślą, jak dostać się pod podany adres, którego trzeba iść nie okazując jednak wahania (co mogłoby być podejrzane dla konfidenta). Skręciłem w kierunku, gdzie zobaczyłem na górze widniejący kościół, i tam się udałem. Po krótkiej, a gorącej modlitwie dziękczynnej udałem się na poszukiwanie ulicy podanej mi w adresie. Gdy stukalem do drzwi, przez dłuższy czas nikt się nie odzywał, a ja byłem pełen obaw. Ciągłe pukając do drzwi, wreszcie usłyszałem spoza nich jakby wystraszony głos pytający: „Kto to?” Gdy podałem nazwisko dane mi na adresie, zostałem poinformowany, że adresat jest na otwarciu wystawy artystów plastyków. Wziąłem adres i dość szybko znalazłem się na wystawie i szczęśliwie dotarłem do kolegi mojego szwagra Aleksandra. Ten przede wszystkim kazał mi rozchmurzyć twarz i udawać zainteresowanie wystawą, co natychmiast uczyniłem. Gdy wreszcie znalazła się sposobność do swobodniejszej rozmowy, uświadomił mnie, że niewiele może mi

pomóc, ponieważ pochodzi z rodziny starozakonnych i nie może mnie przenocować u siebie. Wskazał mi jednak adres swojego kolegi katolika i dał mi ilustrowane pismo w języku rosyjskim, które miało mnie chronić w jakimś stopniu w wypadku zatrzymania mnie przez Sowietów.

Już powoli ciemniało, gdy znalazłem się pod nowym adresem. Dzięki dobroci gospodarzy, ja i kilku innych podobnych mi towarzyszy niedoli przedrzemaliśmy noc na schodach przedsionka mieszkania. Rano, za czyjąś poradą, postanowiłem dostać się do miejscowości Łapy, do której dochodził jeszcze pociąg. Dalej należało iść piechotą wzdłuż toru kolejowego do pasa granicznego, który miał znajdować się między Czyżewem (po stronie sowieckiej) a Malkinią (po stronie niemieckiej). Jest to odcinek tak zwanej granicy suchej, a więc z pominięciem rzeki Narwi.

Zgodnie z podjętą decyzją, nie zatrzymany przez nikogo, kupiłem bilet na dworcu w Białymstoku i szczęśliwie dojechałem do Łap. Nie znając miejscowości, po wyjściu ze stacji bez wahania skręciłem na drogę prowadzącą do kilku zabudowań gospodarczych widocznych na wzgórzu. Wszedłem do pierwszego domu, gdzie zastałem gospodynię, którą poprosiłem o przenocowanie mnie. Ta, wyraźnie przerażona moją prośbą, zaprowadziła mnie do stodoły i błagała, abym natychmiast udał się w dalszą drogę, gdyż nie może mnie przenocować, ponieważ nowa władza zakazała kogokolwiek przechowywać, i grozi to wieloma karami. Ponieważ była to sobota wielkanocna, przyniosła mi woreczek z kiszką i bułką, wyprawiając w drogę. Rozumiejąc obawy tej dobrej kobiety, podenerwowany zająłem, jak sądziłem, nie zauważony przez nikogo złego, dotarłem idąc na skróty, jakie wypatrzyłem już po ciemku — do toru kolejowego, prowadzącego w kierunku granicy. Rozpocząłem w ten sposób swoją wędrówkę wzdłuż toru kolejowego, zawsze czujny. Szedłem tylko nocami, bo tak było najbezpieczniej. Zatrzymywałem się niekiedy u budników, którymi byli zawsze dobrzy Polacy. Dzięki ich pomocy i opiece ich rodzin odpoczywałem w dzień. W drugim dniu odpoczynku, na czyjąś prośbę, odsprzedłem swój sweter zdobyczny, po zagarnięciu w ostatnim dniu walki taboru Wehrmachtu niemieckiego. Okazało się to później wielkim szczęściem dla mnie przy zetknięciu się z Niemcami.

W trzecią noc marszu, podchodząc do widocznej już budki czy stacyjki kolejowej, zauważyłem sylwetkę człowieka, wodzącego latarką wzdłuż toru. Skoczyłem więc do pobliskiego rowu. Człowiek świecąc latarką zbliżał się powoli do mnie. Staralem się z zapartym tchem ukryć jak najlepiej. Z ulgą rozpoznałem w nim kolejarza polskiego, który ostrzegł mnie, że w widocznym obiekcie kolejowym znajduje się sowiecki patrol łączności, i radził mi go ominąć. Co też natychmiast uczyniłem, dużym łukiem brnąc po śniegu, oszczekany jedynie przez psy, ale nie zauważony przez Sowietów.

Podążając znowu torem, po dłuższym czasie, przy pierwszych już zwiastunach kończącej się nocy, zobaczyłem, że zbliżam się do jakiejś wsi. Według zapowiedzi informujących mnie wcześniej kolejarzy miała to już być ostatnia wieś przed pasem granicznym. Zaostrzyłem więc moją czujność, trzymając się dalej ścieżki idącej koło

toru. Od kolejarzy też wiedziałem, że po lewej stronie toru, nieco głębiej, w którymś z pierwszych domów wsi znajduje się sowiecka placówka graniczna. Idąc bardzo ostrożnie minąłem szczęśliwie widoczne po lewej stronie domy i już w pewnej odległości zatrzymałem się przy słupie telegraficznym, gdyż zauważyłem, że około 150 m dalej kończą się zadrzewienia, a przed nimi rozpościera się otwarta jasna przestrzeń. Zorientowałem się, że to już musi być granica. Stojąc nieruchomo za słupem telegraficznym, wpatrywałem się w tę przestrzeń, nasłuchując z wytężeniem, czy czegoś nie usłyszę. Nagle przylgnąłem jeszcze silniej do słupa, bo oto na tej przestrzeni otwartej zobaczyłem idący patrol sowiecki, poprzedzany węszącym psem. Uciekać nie było gdzie, zresztą każdy ruch zdradziłby mnie. Stałem więc nieruchomo za słupem, modląc się w duchu. Wkrótce odetchnąłem znowu spokojnie. Patrol minął tor i poszedł dalej w lewo wzdłuż granicy.

Wyczekałem kilka minut i powoli podsunąłem się w miejsce, gdzie kończyły się zadrzewienia. Tu przez pewien czas wpatrywałem się w to, co ujrzałem przed sobą. Przede mną, w odległości około 30–50 m, na otwartej przestrzeni rozciągał się ponad metrowej wysokości płot z drutu kolczastego, oznaczający granicę, a za nim w pewnej odległości od siebie spostrzegłem dwie budki strażnicze, otwarte i ciemne. W dalszej perspektywie widać było most kolejowy, następnie na wysokim nasypie tor prowadzący do Ostrowi Mazowieckiej, a za nim już niedaleko stację kolejową Małkinia.

Widząc, że w budkach strażniczych po przeciwnej stronie drutu kolczastego nie ma nikogo, jednym skokiem znalazłem się pod drutami. Trafiłem szczęśliwie w miejsce, gdzie płynął strumyk, nad którym dopiero rozciągał się płot. Wykorzystując to naturalne, a zbawcze dla mnie zagłębienie, szybko i łatwo przesunąłem się na stronę niemiecką, wyrzucając wcześniej do strumyka czasopismo sowieckie.

Będąc już po stronie niemieckiej, z wielką ostrożnością czołgałem się wzdłuż toru prowadzącego do stacji Małkinia. Nagle usłyszałem wielką strzelaninę w stronie, gdzie właśnie poszedł patrol sowiecki. Porwałem się z miejsca, pędząc w kierunku widocznego mostu kolejowego na nasypie. Czuję bowiem, że uwaga straży granicznej obu wrogich stron zwrócona jest obecnie na strzelaninę.

Szczęśliwie przedostałem się za most i już pod osłoną nasypu dopadłem małej budki kolejowej. Byłem zmęczony i mokry od topniejącego śniegu i od własnego potu. W budce zastałem polskiego kolejarza, siedzącego przy rozpalonym piecyku żelaznym. Zapytałem go, czy mogę się ogrzać, a gdy przyzwolił, usiadłem przy nim i zapytałem jeszcze, kiedy odchodzi pociąg do Siedlec. Była to bowiem najkrótsza droga do Przeworska, gdzie spodziewałem się u rodziców zastać żonę i córeczkę. Kolejarz wyjaśnił mi, że trzeba jechać na Warszawę, gdyż w kierunku na Siedlce most jest wysadzony, a pociąg do Warszawy stoi już pod parą na peronie i ma odjazd o godzinie 8⁰⁰.

Znowu nie zatrzymany przez nikogo znalazłem się w wagonie pociągu. Po pewnym czasie, gdy nieco się ogrzałem i wypocząłem, udałem się do ustępu, szybko

zmieniłem mokre i zbyt ubogie odzienie na suche i lepsze, które miałem w worku. Skoro tylko rozjaśniło się na dworze, wykupiłem w czynnej już kasie bilet tylko do Warszawy, kierowany ostrożnością, bo w dowodzie osobistym, wystawionym przez organizację na nazwisko Józef Czackowski, miałem wpisany adres warszawski. Na pogorzelsku koło stacji znalazłem kawałek szmaty, którą oczyściłem zabłocone buty.

Po powrocie do wagonu zastałem tam nowych pasażerów, a wśród nich kilku polskich policjantów, wracających do swoich rodzin, oraz kobiety z bańkami mleka i żywnością, którą wiozły do Warszawy.

Usiadłem przy oknie po przeciwnej stronie peronu i modląc się w duszy, z pewnym niepokojem czekałem na odejście pociągu. Około godziny 7⁰⁰ wszedł nagle do przedziału wysoki mężczyzna, ubrany po cywilnemu, jak zdażyłem zauważyć, o srogim, zimnym spojrzeniu... On to nagle zawołał: „Ausweis bitte!” Przeglądnął najpierw dowody i przepustki kobiet i policjantów. Podszedł do mnie. Kiedy podałem mu mój dowód osobisty, spojrzał na mnie i zapytał po niemiecku, skąd ja jestem. Zdawałem sobie sprawę od początku, że jeśli on jest na granicy, to musi umieć po polsku. Nie zdradziłem się, że w pewnym stopniu władałem językiem niemieckim, aby zwiększyć czas na przemyślenie odpowiedzi. On widząc, że gestami i słowami polskimi daję mu poznać, że nie rozumiem po niemiecku, zwrócił się do polskiego sierżanta policji, aby był tłumaczem. Padły więc kolejne pytania: skąd jestem, gdzie jadę, gdzie byłem. Odpowiedziałem natychmiast za pośrednictwem tłumacza: jestem z Warszawy, jadę do Warszawy, byłem w Małkini. On dalej pyta: u kogo w Małkini. Wymyśliłem naprędce nazwisko: u Świerczyńskiego. „Swerczyński? Welche Strasse?” — dopytuje się Niemiec dalej. Wiedziałem, że w każdym niemal mieście polskim była ulica Józefa Piłsudskiego, i wiedziałem też, że znaczna część miasta jest spalona, i dlatego powiedziałem: „Ja nie wiem, jaka to ulica, ale ja przyjechałem do niego, gdyż dowiedziałem się, że on był na wojnie z moim bratem, który dotąd nie powrócił do domu, i chciałem się coś dowiedzieć o jego losie”. Wówczas zażądał ode mnie biletu kolejowego, a gdy mu go podałem, wyjmując z portmonetki, chwycił ją nagle i znalazł w niej kilka kopiejek: sowieckich. Rzucając je na ławkę liczył głośno i nagle chwycił mnie pod szyję za ubranie i tarosząc krzyczał: „Sie von Russe?”, gdy zaprzeczałem mówiąc zatrwożonym głosem, że jadę do żony i dzieci, zawołał: „Komm mit mir!” Ubierając się w płaszcz przypomniałem sobie, że w osobnej okładce w bocznej kieszeni marynarki mam 20 rubli papierowych, które gdy Niemcy znajdą, będzie bardzo źle. Z kopiejek może się wytłumaczyć, że jestem zbieraczem monet i otrzymałem je od przypadkowych ludzi. Prosiłem Boga, by Niemiec szedł pierwszy albo odwrócił się na chwilę, a ja wyrzucę okładkę z rublami. I tak się stało. Niemiec zniecierpliwiony szedł pierwszy z wagonu, a ja za nim.

Niemiec prowadził mnie wzdłuż wagonu w kierunku ocalałej części budynku stacyjnego. Przed drewnianą przybudówką stacji stał Niemiec w mundurze. Widziałem wyraźnie dym z fajki, którą palił... Niemiec prowadzący mnie pchnął mnie w kierunku stojącego Niemca, ten znakiem ręki wezwał mnie do siebie, a gdy

podszedłem do niego, wepchnął mnie do środka dość dużej hali, gdzie zauważyłem wielu podobnych mi ludzi, i podprowadził do stołu, przy którym siedział Niemiec w cywilnym ubraniu. Przy nim zapytał mnie, czy mam pieniądze niemieckie lub sowieckie. Zaprzeczyłem i sam wyciągnąłem z bocznej kieszeni marynarki 80 zł polskich, mówiąc, że to cały mój majątek. Następnie z lewej kieszeni wyciągnąłem ryngraf z Matką Boską Częstochowską, który znalazłem w boju nad Bugiem. Niemiec wziął do ręki ryngraf, popatrzył i powiedział: „Matka Boska Częstochowska”, a gdy potwierdziłem głową, niespodziewanie dla mnie wskazał mi skinieniem ręki, że jestem wolny. Odruchowo podziękowałem ukłonem i wyszedłem na zewnątrz stacyjnej szopy. Idąc z powrotem do wagonu dziękowałem Maryi i prosiłem, aby nie zobaczył mnie Niemiec, który mnie aresztował. Szczęśliwie doszedłem do przedziału, z którego zabrał mnie Niemiec, czując, że mam tam przyjaciół. Rzeczywiście powitali mnie życzliwie, a jeden z policjantów powiedział do mnie: „Jeśli nikt znowu nie przyjdzie po pana i żaden Niemiec nie wsiądzie do odjeżdżającego pociągu — wszystko będzie dobrze. My będziemy uważać i bacznie obserwować stację”.

Pół godziny do odjazdu pociągu i pół godziny mojej niepewności, którą wypełniałem modlitwą dzięczynną do Maryi... polecając się Jej dalszej, czulej, matczynej opiece. Wreszcie pociąg ruszył i jak powiadomił mnie jeden z tych zacnych policjantów, nikt podejrzany nie wsiadł do niego.

Szczęśliwie dojechałem do Warszawy, a stamtąd przez Kraków do Przeworska, przywitany radośnie przez rodziców, żonę, córeczkę i rodzeństwo. Po kilku zaledwie dniach pobytu w domu rodziców, w tajemnicy przed najbliższymi sąsiadami, powiadomiony, że jakiś podejrzany o konfidencję człowiek często się pyta moich bliskich o mnie, zmuszony byłem wyjechać do Krakowa. Tam rozpoczął się dla mnie nowy okres w życiu — konspiracja na nowym odcinku walki, tym razem z okupantem niemieckim.

PRZYPISY

¹ Pułkownik dyplomowany Jan Sokołowski (1895–1986). Do 1939 roku odznaczony *Virtuti Militari* V Klasy, Krzyżem Walecznych — czterokrotnie, i Krzyżem Niepodległości. Od września 1939 roku dowódca wojewódzki SZP (Służby Zwycięstwu Polski) we Lwowie. Pseudonimy: „Jan”, „Trzaska”. Od stycznia 1940 roku p.o. komendanta Obszaru i komendanta Okręgu „Lwów” ZWZ, z ramienia gen. bryg. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, co najmniej do marca 1940 roku. Od kwietnia 1940 do 1941 roku organizator i dowódca związku niezależnej organizacji wojskowej byłych legionistów pod nazwą „Wierni Polsce”.

² Andrzej Sokołowski pseudonim „Kadet” przeszedł po aresztowaniu ostre śledztwo, w którym nikogo nie zdradził, a potem został zesłany do Usy (w pobliżu Workuty), skąd wydostał się z armią polską gen. Władysława Andersa; poległ w bitwie pod Monte Cassino.

³ Kapitan Gustaw Bruchnański został aresztowany pod koniec lutego 1940 roku. W jego mieszkaniu NKWD zorganizowało kocioł. Był więziony w Brygidkach, gdzie go potwornie zbito. Po kilku miesiącach śledztwa skazano na karę śmierci, zamienioną następnie na dziesięć lat więzienia.

⁴ Zastępcą i następcą Bolesława Michała Nieczuja-Ostrowskiego był prawdopodobnie Stanisław Mrozek pseudonim „Stanisław”, aresztowany 21 czerwca 1940 roku przez NKWD.

MATKA Z JASNEJ GÓRY PRZYCHODZI SWOIM ŻOŁNIERZOM Z POMOCĄ

Pracując jako szef uzbrojenia w sztabie „Kamienia”, tj. w Komendzie Okręgu Krakowskiego Związku Walki Zbrojnej, i zestawiając ubogie stany naszego uzbrojenia, często przemyślałem nad tym, jak by temu zaradzić w sposób bardziej radykalny, aniżeli to dotychczas robiono.

Nie zawsze można było zdobywać broń siłą czy skupować od żołnierzy niemieckich, nie wszystkie tzw. „meliny”, powstałe z demobilizacji naszego wojska w roku 1939, trafiały do nas. Zresztą wszystkie te źródła nie mogły uzbroić rozrastającego się z każdym dniem podziemia.

Brak nam było szczególnie granatów, min, bomb i flaszek zapalających, tak niezbędnych choćby tylko do akcji sabotażowo-dywersyjnych.

Jesienią 1941 roku „odkryłem” w czasie swoich rozważań, że przecież można by bez jakichś specjalnych trudności produkować granaty w tajemnicy przed wrogiem. Wystąpiłem wówczas z projektem produkcji granatów typu iglicznego — jak mi się wówczas wydawało — łatwych do produkcji. Przedstawiłem to w Sztabie Okręgu. Tu poradzono mi, abym opracowane wzory przesłał drogą służbową do Komendy Głównej, co też uczyniłem.

Minął prawie rok, gdy przypadkowo, w czasie zastępowania szefa oddziału taktyczno-operacyjnego sztabu Okręgu rtm. „Wiatra” (Zygmunt Szydek), wpadł mi w ręce świeżo nadesłany rozkaz Komendy Głównej, nakazujący zorganizowanie komórki produkcji granatów na terenie „Kamienia”. Czyżby to był odzew na mój zeszloroczny projekt? Jestem przekonany, że nie tylko na mój, ale także wielu innych kolegów, braci Polaków, których pomysłowość i spryt w walce z okrutnym wrogiem zawsze były niewyczerpane. Musiało być wiele projektów, a najlepsze z nich zostały oddane do realizacji w wytwórniach podziemnych.

Rozkaz Komendy Głównej oceniłem jako bardzo słuszny, a szybkie zorganizowanie całego aparatu produkcyjnego za rzecz niezwykle pilną i ważną. Wiedziałem, że produkcja w warunkach konspiracyjnych to ani łatwa, ani bezpieczna sprawa, ale doniosła dla ruchu podziemnego, także efektowna oraz porywająca.

Z miejsca więc zapaliłem się do tego nowego zadania i postanowiłem zgłosić się na ochotnika celem zorganizowania go według przemyślanych już wcześniej przeze mnie schematów i zrealizowania go.

Komendant Okręgu, płk dypl. „Wrzos” (Zygmunt Miłkowski), wyraził sprzeciw, gdyż widział olbrzymie trudności w realizacji rozkazu Komendy Głównej oraz możliwość dalszych „wsyp” zarówno w sztabie, jak i w jednostkach konspiracyjnych. Po głosowaniu trójki: płk. dypl. „Wrzosa”, płk. „Gamy” i rtm. „Soplicy”, przy czym głosowali za mną płk „Gama” (dr Kazimierz Putek — szef sztabu) i rtm. „Soplica” (Mieczysław Rakoczy — szef oddziału łączności), powierzono mi organizację i komendę nad produkcją konspiracyjną na terenie Okręgu. W ten sposób nastąpiły narodziny „Ubezpieczalni”, jak nazwałem Szefostwo Produkcji Konspiracyjnej Broni Komendy Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej.

Prace organizacyjno-przygotowawcze dla uruchomienia „Ubezpieczalni” trwały kilka miesięcy, ale już pierwszego grudnia 1942 roku wyprodukowano pierwsze kilogramy materiału wybuchowego „szedyt”. Wkrótce przystąpiono też do produkcji części do granatów, a latem 1943 roku po skutecznych próbach w Grocie Twardowskiego na Krzemionkach w Krakowie przystąpiono do pełnej produkcji granatów w montowniach rozrzuconych na terenie Okręgu Krakowskiego.

W ramach „Ubezpieczalni” nie byliśmy w stanie produkować spłonek wybuchowych (jedynie), których produkcja była bardzo niebezpieczna i wymagała specjalnych warunków i fachowców z dziedziny pirotechniki, jakimi dysponowało w tym czasie jedynie Główne Szefostwo Produkcji Konspiracyjnej Broni przy Komendzie Głównej w Warszawie. Zachodziła więc potrzeba przewożenia wyprodukowanych spłonek z Warszawy do „Ubezpieczalni” w Krakowie przez specjalnych kurierów.

Jedną z pierwszych partii wyprodukowanych spłonek, liczącą kilka tysięcy sztuk, podjąłem się przewieźć z moim podkomendnym („Jurandem”) — Stanisławem Wachowskim, późniejszym ppor. czasu wojny. Miało to miejsce na przełomie czerwca i lipca 1943 roku, kiedy we dwójkę braliśmy udział w odprawie produkcyjnej zorganizowanej przez Główne Szefostwo Produkcji Konspiracyjnej Broni w Warszawie. Wiedzieliśmy, że przewiezienie spłonek to sprawa konieczna i pilna dla uzbrojenia naszych granatów, które były już wyprodukowane w znacznej liczbie i czekały na tę jedną część. „Duszą” granatu była spłonka, bo przez swój zapłon pobudzała materiał znajdujący się w czerepie do wybuchu i działania granatu jako broni. Wiedzieliśmy również, że czekają na nie dotąd nie uzbrojone dłonie obrońców nękaney przez wrogów Ojczyzny — żołnierzy podziemia akowskiego.

Spłonki były przygotowane do transportu w postaci czterech taśm wypełnionych gęsto i oddzielnie opakowanych spłonek dokładnie ochronionych — każda z osobna — od gwałtownych wstrząsów. Mieliśmy ze sobą średniej wielkości walizkę, ale ponieważ wiedzieliśmy, że właśnie walizki najczęściej podlegają łapczywej kontroli Niemców, dlatego umocowaliśmy spłonki w rękawach naszych płaszczy, które mieliśmy przy sobie.

Na warszawski Dworzec Główny zaszliśmy szczęśliwie niosąc płaszcze na rękach i nie bez wewnętrznych niepokojów doczekaliśmy się wreszcie pociągu osobowego jadącego do Krakowa. W przedziale, w którym byliśmy szczęśliwie sami, powiesiliśmy nasze płaszcze na wieszakach i „z duszą na ramieniu”, nadrabiając miną, czekaliśmy na odjazd pociągu, rozglądając się pilnie po peronie, czy czegoś podejrzanego nie zauważymy.

Ja osobiście czułem się wewnętrznie jakoś bardzo niespokojny, a wiedząc, że „Jurand” ma klucz konduktorski do schowków kolejarskich znajdujących się w ustępach, wpadłem na myśl, by „Jurand” schował nasze taśmy do takiego schowka w ustępie naszego wagonu. Uczynił to nie zauważony przez nikogo.

Pociąg ruszył i już nabierał szybkości, gdy nagle do naszego wagonu weszła grupa Niemców, składająca się z dwóch tajniaków i kilku „Bahnschutzów” (policjantów kolejowych), a wchodząc do naszego przedziału, jeden z tych ubranych po cywilnemu przesunął rękami po rękawach naszych płaszczy i nic nie mówiąc, wyszedł razem z innymi z przedziału kierując się korytarzem do następnego wagonu.

Odetchnęliśmy z ulgą i wyszliśmy na korytarz, udając, że wyglądamy oknem, a pilnie patrzyliśmy, czy wszyscy odeszli do następnego wagonu. Ku naszemu zaniepokojeniu stwierdziliśmy, że dwaj spośród „Bahnschutzów” zatrzymali się przed ustępem, a jeden z nich wszedł do środka i po pewnej chwili wyszedł i wraz z czekającym na niego w korytarzu kolegą „Bahnschutzem” podążył za grupą penetrującą przedziały w następnym wagonie jadącego pociągu.

Po pewnym czasie obserwacji ustępu „Jurand” poszedł sprawdzić całość schowka. Okazało się, że dolny róg blaszanych drzwiczek schowka był zagięty, a jednej splonki brakowało.

Byliśmy tym faktem bardzo zaniepokojeni. Ciągłe obserwowaliśmy wejście do ustępu i rozważaliśmy, co dalej robić, aby ocalić od „wpadki” nasze splonki. Po dłuższym czasie, zdziwieni brakiem jakiegokolwiek reakcji Niemców, doszliśmy do przekonania, że „Bahnschutz”, który zabrał splonkę, zachował to w tajemnicy, gdyż sądził z pierwszego wrażenia, że to pięknie wykonana oprawka do ołówków. Przypuszczalnie był w kontaktach z kolejarzami pociągu, zawartość schowka potraktował jako przemyt przez granicę z Reichu do GG, spodziewając się okupu od nich. Nasuwała się nam też myśl, że „Bahnschutz” ten był ukrytym żołnierzem podziemia albo, jeśli zorientował się, co się mieści w schowku, przygotowywał zasadzkę na właścicieli paczki na dworcu krakowskim.

Ciągłe zaniepokojeni, pilnie obserwowaliśmy nie tylko wejście do ustępu, ale i całe nasze otoczenie. Na szczęście był bardzo słaby ruch pasażerów. Wreszcie zauważyliśmy z dala wieże kościołów Częstochowy i wzdychaliśmy w duchu do opieki Cudownej Matki Bożej Częstochowskiej. Gdy wreszcie zadudniły pod nami liczne zwrotnice dworca, mieliśmy zamiar początkowo, w obawie przed rewizją i stratą tak cennego ładunku, wyskoczyć z pociągu, ale to byłoby na pewno zauważone przez Niemców i dlatego zdecydowałem, aby „Jurand” wyrzucił całość przez okno ustępu przy najbliższej budce kolejowej, zapamiętując

dokładnie jej położenie. Tak też uczynił. Dzięki dobremu opakowaniu obyło się to bez jakiegokolwiek szkody dla sponki, jak się później okazało.

Dojeżdżając zdążyliśmy ustalić, że „Jurand” wysiadzie z pociągu i w miarę swoich możliwości zabezpieczy nasze sponki, umieści je u swoich znajomych w Częstochowie, a w następnych dniach dowiezie do Krakowa. Adresu znajomych nie pamiętał. Ja postanowiłem pojechać do Krakowa, aby nie spowodować alarmu w Komendzie „Ubezpieczalni” z powodu nieprzybycia.

Pociąg miał dłuższy postój w Częstochowie, gdyż była to stacja graniczna przed wjazdem na obszar Reichu. „Jurand” odważnie i szczęśliwie wydostał się za bramę dworca i zniknął mi z oczu. Widziałem z okna, jak cała ekipa kontrolna wyszła z pociągu i rozpoczęła badanie pak towarowych znajdujących się w magazynie dworcowym. W myślach i sercu miałem wątpliwości, czy „Jurand” da sobie sam radę w wykonaniu tak poważnego zadania. Był on odważny i roztropany, ale czy nie będzie potrzebował mojej pomocy, czy odnajdzie swoich znajomych, czy w ogóle odnajdzie sponki, w jakim będą stanie?

Takie i podobne myśli przychodziły mi do głowy i nie dawały spokoju. A może „Jurand” też pomyśli o mnie źle, posądzi o tchórzostwo? Na to przypuszczenie, które zabolalo, zerwałem się z ławki i wyszedłem z wagonu, aby przejść przez bramę prowadzącą do miasta. Przy bramie stał kolejarz polski, starszy wiekiem, a ja starałem się tak podejść do bramy wyjściowej, aby żaden Niemiec, z tych buszujących w magazynie, nie zobaczył mnie. Gdy wreszcie nie zauważony przez nich dotarłem do bramy i pokazałem swój bilet, nasz „kochany rodak” nie pozwolił mi przejść przez bramę, ponieważ miałem bilet do Krakowa. Moje tłumaczenia, że chcę pójść na Jasną Górę i następnym pociągiem pojechać do Krakowa, nie przemawiały do jego rozumu ani serca. To zatrzymanie przez służbistego kolejarza mogło zwrócić na mnie uwagę któregoś z Niemców, a wówczas byłoby źle... Na szczęście nadszedł dyżurny ruchu, a dowiedziawszy się, o co chodzi, kazał mi się zgłosić na dyżurkę celem przedłużenia ważności biletu. Tak też uczyniłem.

Pośpiesznie skierowałem się na drogę prowadzącą wzdłuż toru kolejowego, po którego przeciwnej stronie widziałem stojące rzędami magazyny, przy których stały posterunki wojskowe. Szedłem szybko, wypatrując ciągle jeszcze niewidocznej budki kolejowej. Wreszcie po przejściu około 2 kilometrów drogi zobaczyłem nagle stojącą na wzgórzu upragnioną budkę, a przy niej rozmawiających dwóch mężczyzn. Stojący tyłem do mnie mężczyzna okazał się, ku mojej radości, „Jurandem”. Widocznie zostałem zauważony, bo nagle „Jurand” wybiegł mi naprzeciw, wyraźnie zadowolony i uradowany. Poinformował mnie, że w budce pracują polscy kolejarze, także żołnierze AK. Oni to zebrali wszystkie sponki i choć początkowo nie chcieli ich oddać, gdy zobaczyli mnie, zdecydowali się je zwrócić. Są już zapakowane w walizce.

Ukryci w pobliskim zbożu, po sprawdzeniu zawartości walizki zastanawialiśmy się, jak mamy dalej postąpić, aby wykonać swoje zadanie. W pewnej chwili ujrzyliśmy podjeżdżający pod budkę na rowerach patrol żandarmerii niemieckiej. Nie zatrzymując się minął budkę kolejową, a my, po pewnym czasie, przeskoczyliśmy na

drugą stronę drogi i przyczailiśmy się na małym cmentarzu. Tu ukryci myśleliśmy początkowo, by naszą walizkę wraz z zawartością schować gdzieś wśród grobów, poszukać znajomych „Juranda” i przy ich pomocy nawet następnego dnia zabrać splotki z cmentarza. Mając jednak na uwadze, że zaimprovizowana skrytka może być łatwo odkryta, zdecydowaliśmy jak najprędzej dostać się do miasta i odszukać znajomych „Juranda” jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Nie rozstając się więc z naszym drogocennym bagażem, doszliśmy do szosy za miastem i kiedy szczęśliwie nadjechała konna dorożka z postawioną budą — a właśnie zaczął padać deszcz — wsiedliśmy do niej, prosząc wąsatego dorożkarza, aby nas zawiózł na Jasną Górę. Nie wiedząc, skąd rozpocząć poszukiwania znajomych „Juranda”, postanowiliśmy szukać rady i pomocy u Matki Boskiej Częstochowskiej.

Mając u swoich nóg walizkę z ładunkiem tak bardzo „trefnym”, z dużym niepokojem i w znacznym napięciu nerwowym, obawiając się nagłej rewizji po drodze, przejechaliśmy szczęśliwie przez Aleję Najświętszej Marii Panny, mijając liczne posterunki przy budynkach zamieszkałych przez dygnitarzy i urzędników niemieckich. Zatrzymaliśmy się dopiero blisko klasztoru Paulinów przy zauważonej kawiarence. Po zjedzeniu czegoś poprosiliśmy właścicielkę kawiarni, aby przechowała naszą walizkę, i udaliśmy się na Jasną Górę, aby pokłonić się Królowej Polski przed Jej cudownym obrazem. Właśnie trafiliśmy na mszę świętą w kaplicy Matki Bożej. Po gorącej modlitwie, w której każdy z nas otworzył duszę, prosząc Jezusa i Maryję o pomoc i dalszą opiekę przy wykonywaniu naszego zadania, znacznie pokrzepieni na duchu wyszliśmy ze świątyni. Jakże wielce byliśmy uradowani, kiedy tuż przed klasztorem „Jurand” rozpoznał wśród przechodniów swojego znajomego, właśnie tego, o którego nam chodziło. Dziękując w duchu Pani Jasnogórskiej, dla upamiętnienia tego dnia kupiłem na straganie klasztorным oleodruk przedstawiający obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który jest ciągle ozdobą mojego mieszkania i przedmiotem religijnego kultu.

Najbliższym pociągiem, mając ze sobą zrolowany obraz Matki Bożej, dojechałem szczęśliwie do domu w Krakowie. Dzielny „Jurand” kilka dni później, transportem zorganizowanym wspólnie ze znajomymi z Częstochowy, już bez przygód dowiózł nasz cenny ładunek, oczekiwany z niepokojem w sztabie „Ubezpieczalni”, do naszego magazynu konspiracyjnego w Krakowie.

W kilka dni po moim powrocie do Krakowa dowiedzieliśmy się, że właśnie pociąg, z którego wysiedliśmy w Częstochowie, był silnie rewidowany przez zorganizowaną obławę niemieckich sił policyjnych, zatrzymany przed wjazdem do Krakowa. Aresztowano wielu podróżnych. Wiadomość ta umocniła w nas wiarę w miłość i opiekę Bożą nad nami, żołnierzami „Ubezpieczalni”, ale również zasmuciła losem aresztowanych rodaków. Dobrze, że naszych splotek nie było już w pociągu, nie wiemy, czy one były przyczyną obławy, niemniej nie stały się przyczyną aresztowań.

Najważniejsze, że wiele tysięcy granatów zawierających splotki „ożyło” w uzbrojonych odtąd dłoniach ofiarnych i mężnych partyzantów.

JEJ NIE MOŻE SIĘ NIC STAĆ!

Jesienią 1942 roku wezwano mnie na odprawę do Głównego Szefostwa Konspiracyjnej Produkcji Broni Komendy Głównej w Warszawie, na której zapoznano mnie i kilku przybyłych oficerów produkcji podziemnej z niektórymi okręgami ZWZ-AK ze szczegółami produkcji granatów o zapalnikach dwóch typów, czasowo-tarciowego oraz igliczno-uderzeniowego. Zapalniki te, w ramach Szefostwa Okręgu Krakowskiego, tzw. „Ubezpieczalni”, nosiły kryptonimy „jabłek CZ. i U.”

Zaopatrzeni w fotokopie schematów wspomnianych zapalników, uprosiłem kolegów z Warszawy, by dali po jednym z zapalników obydwu typów, wykonanych w tamtejszej zbrojowni, celem ułatwienia nam w Krakowie ich montażu z elementów, które częściowo już produkowaliśmy od jesieni 1942 roku. Schowałem je na piersiach, po jednym w każdej kieszeni marynarki. Wiedziałem, że gdy je pokażę kolegom z działów mechanicznego i montażowego, nie tylko ułatwię produkcję, zwłaszcza trudniejszych do wykonania części „U”, oraz montaż obydwu zapalników, ale jeszcze bardziej zmobilizuję ich do wytężonego działania.

Polecając się w duchu opiece Jezusa i Maryi, tak podwójnie „uzbrojony”, wsiadłem mimo dużego tłoku do nocnego pociągu jadącego w kierunku Krakowa. Świadomy ryzyka w wypadku „nakrycia” mnie przez Niemców, broniłem się przed zaśnięciem, starając się być jak najbardziej czujnym na objawy wskazujące na obecność wroga. Mając ufność w opiekę Boga, często w myślach swoich powtarzałem słowa „Koronki do Ran Pana Jezusa”, w których moc wierzyłem bardzo, gdyż już nieraz za ich przyczyną zostałem wybawiony z różnych opresji życiowych. Udręczony wzmożoną czujnością oraz trudem samej podróży, dojechałem szczęśliwie rano do Krakowa i również szczęśliwie dotarłem do swojego mieszkania przy ul. Augustyna Kordeckiego 8.

Była to niedziela. Po przywitaniu się z Bronką, moją żoną, która będąc niezdrowa leżała jeszcze w łóżku, uradowany pomyslnym wynikiem podróży i opowiadaniem o niej, w pierwszej chwili nie zauważyłem nicobecności naszej córeczki Wandzi. Gdy więc po pewnym czasie zapytałem o nią żonę, wyjaśniła

mi, że Wandzia poszła do klasztoru sióstr Augustianek na szkolną mszę świętą. Zapytałem też o jej zdrowie, a żona odpowiedziała mi, że właściwie jest zdrowa, choć wychodząc skarżyła się na ból głowy. Zmęczony podróżą, odpowiadając z kolei na pytania żony, która na swój sposób przeżywała moje tarapaty i nieobecność w domu, zacząłem przygotowywać się do spania, gdy nagle ostre dźwięki dzwonka przy drzwiach frontowych mieszkania zaalarmowały nas. Niepewność: kto to, wróg czy przyjaciel? Następne dzwonki swoją natarczywością zmusiły mnie do otwarcia drzwi. Zobaczyłem zdyszana siostrę augustiankę, która zaszokowała nas słowami: „Wandzi nagle coś się stało, leży u nas nieprzytomna w klasztorze”. Ubrałem się szybko, zaalarmowałem swojego brata Zbigniewa, który w tym czasie mieszkał ze swoją rodziną w sąsiednim pokoju, aby pobiegł do lekarza, a sam podążyłem pospiesznie z czwartego piętra za biegnącą przede mną zakonnicą. Razem wpadliśmy do klasztoru. Na ławie w przedsionku szkolnym leżała moja Wandzia blada, nieprzytomna, z żółtawą pianą na ustach, z silnie zaciśniętymi zębami. Wstrząśnięty tym bolesnym widokiem, podbiegłem do niej wołając: „Dziecinco moja, co ci się stało?” Natychmiast jednak zerwałem się z kolan i z wielką wiarą powiedziałem do zgromadzonych przy ławie zakonnice i koleżanek Wandzi: „Jej nic nie może się stać, gdyż ofiarowałem ją Matce Bożej, dając jej drugie imię Maria. Proszę się modlić za nią. Proszę przynieść łyżkę”.

Gdy któraś z zakonnice przyniosła łyżkę, z trudem wsunąłem jej trzonek między zęby Wandzi, aby mogła lepiej oddychać. (Tu odezwała się moja sprawność samarytanina zdobyta w harcerstwie.)

Przybiegła moja żona, zatrwożona, ale opanowana, przynosząc koc, a wkrótce za nią mój brat Zbigniew, powiadamiając, że lekarka zaraz przyjdzie, ale do naszego mieszkania. Zawinęliśmy w koc bezwładnie ciężącą w moich ramionach Wandzię, ciągle nieprzytomną, i jak mogliśmy najszybciej, modląc się po drodze, przydźwigaliśmy ją do naszego mieszkania i położyli ją do łóżka. Staliśmy zmartwieni przy niej, gdy przybyła lekarka, pani w średnim wieku, o miłej i życzliwej twarzy. Z wielką starannością przebadala chorą, ale mimo wszystko nie była pewna swej diagnozy i przypuszczała tylko, że to może być dyfteryt. Zapisala lekarstwo na obniżenie wysokiej w tej chwili gorączki, polecila obserwować wszelkie objawy choroby i skontaktować się z nią następnego dnia lub w razie gwałtownej zmiany na gorsze u chorej. Brat poszedł po lekarstwo do apteki, a my, zatrwożeni rodzice, wpatrzeni w ciągle nieprzytomne nasze dziecko, szukaliśmy ratunku w miłosierdziu Boga. Modliliśmy się w sercach naszych, każde na swój sposób, prosząc Boga i Maryję o ratunek dla naszej jedynaczki. Ja uparcie, z całą siłą woli, dobitnie, z ufnością, na jaką było mnie stać w tej chwili, powtarzałem słowa koronki: „O mój Jezu Przebaczenia i Miłosierdzia, przez zasługi Twoich Świętych Ran — Ojciec Przedwieczny, ofiaruję Ci Rany Pana naszego Jezusa Chrystusa na uleczenie ran dusz naszych...”

Nagle, z wielką radością, zauważyliśmy, że nasze dziecko porusza się. Oddech jej stał się równy i spokojny, zęby zwolniły ucisk wzajemny szczęk, rękoma

ściągała podniesioną w czasie badania przez lekarkę koszulkę, wreszcie otworzyła oczy, a zobaczywszy mnie, siadła w łóżeczku, wyciągnęła do mnie rączki i powiedziała: „Tatusiu, przyjechałeś?” Pod wpływem naszych uścisków ożywiła się jeszcze więcej, zaczęła się bawić lalką i zabawkami, jakie jej podaliśmy, gorączka spadła, ani śladu choroby... Do naszej radości przyłączył się wkrótce przybyły z lekarstwem mój brat. Zdumiony był tą nagłą zmianą, trudną do zrozumienia po tym, co niedawno jeszcze widzieliśmy i przeżywali boleśnie.

Noc przeszła spokojnie. Wandunia spała normalnie. Szczęśliwie i bez nawrotów choroby przeszły dnie i noce następne. Lekarka orzekła w końcu, że to był dyfteryt, dziecko nosiło chorobę od kilku dni przy objawach niezauważalnych i to, co widzieliśmy, było objawem szczytowym choroby, kończącym się zwykle śmiercią. Teraz dopiero zastosowała wobec niej leki zwalczające chorobę, ale my, rodzice, wiedzieliśmy, komu mamy dziękować, i zachowaliśmy na zawsze wdzięczność Jezusowi i Maryi.

„OJCZE PRZEDWIECZNY, TATUŚKU MÓJ UKOCHANY!”

Rok 1946 zapisał się w kronice mojego życia nie tylko kontynuacją rozpoczętego we wrześniu 1945 roku dzieła gospodarczo-społecznego na rzecz zbiorowiska ludzkiego, zespolonego w organizowanej przeze mnie spółdzielni gospodarczo-społecznej, ale także wydarzeniami, które w znacznym stopniu, szczególnie boleśnie dotykały mojej osoby.

Spółdzielnia z siedzibą w Pogrozdziu, twór rozlicznych moich rozmyślań i marzeń od wielu lat, dotyczących uzdrowienia stosunków gospodarczo-społecznych wsi polskiej, tak bardzo zaniedbanej pod każdym względem, z trudem wprawdzie, ale rozwijała się z każdym dniem i poszerzała swoją wielostronną działalność. Powstawały coraz to nowe placówki, zarówno gospodarcze, jak i społeczne, a zasięg ich powiększał się i obejmował już znaczną część gminy Tolkmicko.

Od zarania akcji osiedleńczej na terenie powiatu elbląskiego spółdzielnia, której siedziba zarządu, jak również miejsce zamieszkania największej liczby zapaleńców tej idei, mieściły się we wsi pod początkową nazwą Nowy Kościół, stała się najsilniejszym wiejskim skupiskiem osadników i najprężniejszym tworem gospodarczo-społecznym w powiecie.

Duszą tej twórczej placówki byli jej pionierzy, eks-żołnierze-partyzanci wywodzący się z jednostek konspiracyjno-bojowych Inspektoratu Rejonowego AK Miechów, Olkusz i Pińczów, występującego ostatnio pod wieloznacznym kryptonimem „Maria”.

Przybyliśmy tutaj po rozwiązaniu Armii Krajowej, pełni dobrej woli, aby tę niegdyś zagrabioną przez Niemców ziemię polską odrodzić w ojczywym duchu, aby zbudować na niej potężne bastiony gospodarczo-społeczne, które by zapewniły tej ziemi rozkwit, a jej ludności kulturalny, gospodarczy i społeczny byt.

Siłą napędową całej działalności, zorganizowanej w ramach spółdzielni, zbiorowiska ludzkiego na szczyblu i zasięgu gminy stać się powinny rozwijane tutaj wartości duchowe, oparte na wychowaniu obywatelskim. Źródłem tego wychowania stać się powinny kuźnice wychowawcze, to jest: rodzina, kościół, szkoła,

organizacje społeczne oraz wojsko, głoszące zgodnie uznawane przez dobry i kulturalny świat prawdy wysokiej moralności społecznej.

Tak pojętej ideologii coraz częściej jednak, mimo wyraźnych symptomów tworzącego się dobra społecznego i gospodarczego na terenie działalności rozwijającej się spółdzielni, zaczęły się przeciwstawiać siły wrogie, mające oparcie niestety w niedoskonałych organach władzy politycznej.

W rozpisanym referendum wzięliśmy udział, ale przekonani o potrzebie istnienia w państwie nie tylko Sejmu, ale i Senatu, opowiedzieliśmy się za jego powstaniem. Nasze stanowisko w tej sprawie, ufne w szczere intencje władz politycznych, wywołało już wyraźną niechęć tych ostatnich do naszego lojalnego i twórczego dla państwa środowiska uspołdzielczonych osadników. W lutym 1946 roku niechętnie nam władze bezpieczeństwa szczebla powiatowego złożyły u nas zbrojną „wizytę”, stawiając mnie i zarządowi spółdzielni nieuzasadnione zarzuty, które rozproszył jednak pokaz wyników naszej rzetelnej pracy we wszystkich ogniwach spółdzielczych w Nowym Kościele oraz skromne bardzo warunki naszego bytu materialnego, zwłaszcza w dziedzinie wyżywienia. Mimo tych faktów, pod pozorem wyjaśnień potrzebnych władzom politycznym zabrano mnie do Elbląga. Zostałem poddany badaniom śledczym na temat idei oraz organizacji spółdzielni najpierw w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Elblągu, gdzie przesłuchiwał mnie oficer NKWD (zresztą spokojnie). Po wysłuchaniu mnie, wydawał się być raczej życzliwie do mnie usposobiony. Zostałem zatrzymany na noc w UB (w willi przy ul. Mikołaja Kopernika).

Spałem tam razem z kpt. Józefem Śliwą, ps. „Józwa” (dowódca plutonu ochrony sztabu 106 Dywizji Piechoty AK), który na ochotnika próbował mnie nie odstępować i towarzyszyć mi wszędzie, ale rozdzielony ze mną, dopiero tutaj znowu dołączył do mnie.

Na drugi dzień rano ten sam śledczy dokończył spisania moich zeznań i przekazał mnie oficerowi politycznemu miejscowego pułku. W towarzystwie zastępcy oficera politycznego pułku zostałem sankami przewieziony do kasyna pułkowego na obiad, a później znowu na „rozmowy” o spółdzielni, które przeprowadzili ze mną oficerowie informacyjni pułku sprowadzeni z Gdańska. Tu przybył także dowódca pułku, pułkownik radziecki. Przyznać muszę, że były to przesłuchania spokojne, raczej o charakterze życzliwym. Tym razem nocowałem w żołnierskim łóżku w koszarach. Wypada mi tu wspomnieć, że gdy przeprowadzano mnie z kasyna do koszar, spotkałem tam niespodziewanie chorążego Lewandowskiego, z którym byliśmy razem przed wojną w Ośrodku Wyszkozenia Rezerw Piechoty w Róźnie jako instruktorzy. Ten rozpoznał mnie i radośnie przywitał, i jak wiem, bardzo życzliwie o mnie mówił w informacji, co zapewne też miało jakiś wpływ na tok mojego śledztwa. Następnego dnia w godzinach południowych zwolniono mnie, a wyprowadzający mnie z koszar kapitan, szef informacji pułku, wyraźnie mi życzliwy, próbował usprawiedliwić moje zatrzymanie.

4 czerwca tego roku (1946) powiększyła się moja rodzina. Moja kochana żona mimo wysokiej ciąży odbyła podróż towarowym pociągiem do Elbląga, a stamtąd naszym spółdzielczym „kruppem” do Nowego Kościoła i tu urodziła drugiego syna, imieniem Tadeusz Maria Bolesław. Był to pierwszy Polak nowej generacji urodzony w Nowym Kościele (Pogrodzie). Tu odbył się pierwszy chrzest tego nowego czasu, a udzielił go ksiądz Stanisław Ryńca ps. „Dan”, były kapelan 116 Pułku Piechoty 106 Dywizji Piechoty Armii Krajowej Inspektoratu Rejonowego „Maria”, w tym czasie pierwszy proboszcz odrodzonej w polskośći parafii św. Mikołaja, wsi położonej na zbiegu dróg łączących stare grody: Elbląg, Tolkmicko, Frombork, wsi odległej zaledwie kilka kilometrów od Zalewu Wiślanego. Był to dzień radości, wszyscy gratulowali mojej dzielnej żonie Bronisławie i mnie z prawdziwą szczerością.

Kończył się pierwszy rok gospodarczy spółdzielni, dość obfity w zbiory rolnicze oraz wpływy finansowe placówek handlowych, rzemieślniczych i przemysłowych. Przygotowywaliśmy się też do wyborów rozpisanych do Sejmu, gdy nagle i niespodziewanie spadły na nas bolesne ciosy.

Pamiętam, że w dniu 7 września wielu nas z rodzinami wybrało się do Suchacza, pięknie położonej tuż nad Zalewem Wiślanym miejscowości, gdzie w ramach sekcji rozrywkowo-kulturalnej odbyła się zabawa w tamtejszym naszym „Kasynie Spółdzielczym”, poprzedzona sztuką wystawioną przez „Zespół Amatorski Członków Spółdzielni”. Ponieważ zabawa przeciągnęła się do późnej nocy, pozostaliśmy u rodziny Józefa Koterwy (ps. „Błyskawica” — dowódca 4 Kompanii II Batalionu 112 Pułku Piechoty AK) i jeszcze przed zakończeniem imprezy poszliśmy spać. Nad ranem 8 września zostaliśmy wyciągnięci z łóżek przez funkcjonariuszy elbląskiego UB. Aresztowali oni kilku członków spółdzielni — byłych żołnierzy AK, również mnie.

Zawieziono nas do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Elblągu, przy ul. M. Kopernika. Mnie z miejsca odizolowano i skoro świt przesłuchiowano przed grupą pracowników UB, której przewodniczył ubrany w mundur polskiego porucznika ubowiec. Stawiał mi on bzdurne i fałszywe zarzuty i oskarżenia pozbawione krzty prawdy, a gdy ja zdziwiony tym wszystkim stanowczo zaprzeczałem jego słowom, nagle spoliczkował mnie i obrzucił „wiązaną” ordynarynych wyzwisk. Oburzony do głębi tym, co zaszło, wyraziłem swoje zdziwienie, że oficer bije oficera — i to starszego — w twarz, oficera, którego zdobi także miniatura Orderu Wojennego Virtuti Militari w klapie marynarki, i zgodnie z zasadami kodeksu honorowego, w jakich wychowany był oficer wojska polskiego, usiłowałem oddać to, czym mnie znieważył przed chwilą. Pomocnicy rzekomego oficera wykręcili mi jednak ręce do tyłu, wyprowadzili do obszernej sali i tutaj wymierzili mi, przytrzymując ręce i nogi, kilkanaście ciosów tzw. „rajpaczem”. Przez dłuższy czas znosiłem zadawane mi uderzenia, ale w końcu udręczony zawołałem: „Matko Chrystusowa, ratuj mnie!” Wówczas prowadzący egzekucję funkcjonariusz UB, zresztą pochodzenia żydowskiego, nakazał przerwanie bicia i przekazał mnie swojemu koledze po

fachu, liczącemu nie więcej jak 18 lat, ze słowami: „Ja mam miękkie serce, wy prowadźcie dalej śledztwo”.

Po blisko dwutygodniowej izolacji na strychu jednego z budynków miejscowego UB, już bez śledztwa poprowadzono mnie wraz z kilkunastu więźniami pod konwojem do miejscowego więzienia. Prowadzono nas w kolumnie zwartej, jak zbirów, nas, żołnierzy AK... bolało serce... Siedziałem samotnie w jednej z cel pierwszego piętra już kilka dni, gdy pewnej nocy obudzono mnie i poprowadzono do więziennego pokoju śledczego. Przesłuchiwało mnie tam dwóch ubowców z Warszawy, z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP). Pokazano mi wówczas zdjęcie uliczne, na którym widać było na pierwszym planie dwóch idących mężczyzn. Jeden z nich był wzrostu wysokiego, a drugi mniej więcej mojego. Ubowcy wskazując na niższego mężczyznę twierdzili uparcie, że to właśnie jestem ja. Przeczyłem temu, nie rozpoznając siebie w tej postaci. „Ja nie widzę siebie w tej postaci, najlepiej pokażcie to zdjęcie mojej matce czy żonie, a na pewno stwierdzą, że to nie ja tam jestem” — twierdziłem stanowczo. Dali mi wtedy spokój, ale już następnego dnia doprowadzono mnie do więziennego fryzjera, gdzie od życzliwie ustosunkowanego do więźniów profosa dowiedziałem się, że pojedą do Warszawy do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Rzeczywiście nazajutrz przewieziono mnie więźniarką do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Gdańsku, a po kilku dniach i dwóch przesłuchaniach wywieziono mnie samolotem pasażerskim do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Była to moja pierwsza podróż samolotem, i to w takiej bolesnej dla mnie sytuacji, w towarzystwie kierownika UB w Elblągu i przedstawiciela UB z Gdańska, którzy na tej wysokości dopiero byli normalnymi ludźmi. Z sercem ściśniętym patrzyłem na współpasażerów, którym zazdrościłem ich wolności i trosk życia codziennego, którymi byli każdy na swój sposób obciążeni i ani nie przypuszczali, że obok nich znajduje się w otoczeniu „opiekunów”, człowiek pozbawiony wolności, skazany niewinnie na udręki...

W „czulej” asyście ubowców doprowadzony zostałem do MBP i postawiony przed wyższym urzędnikiem w mundurze pułkownika, który również próbował mi wmówić, że na wspomnianym zdjęciu, które i tutaj mi pokazano, znajduje się ja. Zaprotestowałem stanowczo. Wyprowadzono mnie do przyległego pokoju, gdzie jakaś kobieta pisała na maszynie biurowej. Gdy tak stałem i rozmyślałem, co to wszystko ma znaczyć, stanął nagle przede mną młody jeszcze mężczyzna, popatrzył na mnie i ku memu wielkiemu zdumieniu, z dużą uprzejmością wskazał na krzesło stojące opodal i powiedział: „Proszę usiąść”. Gdy usiadłem, wszedł do gabinetu, z którego mnie przed chwilą wyprowadzono.

Wkrótce wezwano mnie ponownie do naczelnika śledczego, a ten znowu wskazując na znaną mi już fotografię, twierdził gwałtownie, że na niej jestem uwidoczniiony. Gdy zaprotestowałem przeciwko tej insynuacji, głośnym i groźnym głosem rozkazał: „Siadajcie tam, na krześle, i odpowiadajcie na zadawane wam pytania!” Było to bardzo długie pomieszczenie, a krzesło stało w lewym rogu przy samej ścianie. Usiadłem, a mój dręczyciel zasypywał mnie różnymi pytaniami, oczywiście „przy-

ozdobionymi” groźnymi i ordynarnymi zapowiedziami, co mnie czeka, jeśli nie będę mówił prawdy, oczywiście tej „prawdy”, jakiej żądał... i ciągle powracał do fotografii, która miała być dowodem na coś, o czym jeszcze nie wiedziałem.

W duchu modliłem się do Boga i Maryi, coraz bardziej przejęty całą sprawą. W pewnej chwili zjawił się znany mi już młody funkcjonariusz UB, pomachał energicznie ręką i powiedział głośno: „To nie ten!” Po chwili podszedł do mnie i zapytał: „Czy znacie kapitana Wochankę?”¹ Odpowiedziałem: „Znam go o tyle, o ile można było znać oficera innego pułku. Ja byłem oficerem 5 Pułku Strzelców Podhalańskich, a on w 38 Pułku Strzelców Lwowskich w Przemyślu, a więc w tym samym garnizonie. Ale ja pana jakbym znalazł?” — Młody funkcjonariusz odrzekł szybko: „Nie, nie!” — i kazał mi siadać.* Wówczas pułkownik UB zwrócił się do mnie mówiąc: „Macie szczęście, że to nie wy jesteście tym, którego szukamy, bo darlibyśmy z was skórę i posypywali solą”.

Po tym przeżyciu odprowadzono mnie do celi piwnicznej, gdzie już znajdowało się kilku akowców. Za celę więzienną służyła nam mała piwnica „umeblowana” drewnianą gołą pryczą i cuchnącym kibelem.

W nocy obudził nas, leżących na pryczy, krzyk i płacz kobiety, zapewne przesłuchiwanej. Słychać było wyraźnie słowa jej dręczyciela: „Mów, k...o, ty myślisz, że dla twoich pięknych oczu będę się z tobą męczył...” Ciśnie się do mojej głowy myśl: „A może to moją żonę, Bronisławę, tak męczą? Mogli ją aresztować — była przecież także żołnierzem AK?...”

Około dwóch tygodni trzymali mnie w tych poniżających godność człowieka warunkach, w tej piwnicy — bez śledztwa. Szarość naszych dni „urozmaicały” tylko chichoty dozorców przybyłych z Francji, rzekomych komunistów, podglądających przez judasza kobiety w sąsiedniej celi, zwłaszcza gdy obsiadały kibek lub rozbierały się, i to, że trzy razy dziennie przynoszono nam jedzenie. „Ceremoniał” więzienny tej chwili nakazywał ustawienie wcześniej misek przy progu drzwi. Wszyscy w celi musieli siedzieć na pryczy z twarzą zwróconą do misek. Otwarcie drzwi poprzedzał stuk stawianego kotła z jakąś zupą, którą po jednej chochli wlewano do każdej miski, jak psom w psiarni lub świniom w chlewni, i dopiero po zamknięciu drzwi można było je zabrać.

Po dwóch tygodniach przerzucono mnie do więzienia na Mokotowie. Tutaj w nocy słychać było piski strażniczek, za którymi „gonili” ich koledzy na „służbie”. Siedziałem najpierw na oddziale II, a następnie w X pawilonie. Gdy jeszcze byłem na oddziale II, któregoś dnia przyszedł do celi prokurator. Zwróciłem się wówczas do niego, tłumacząc, że siedzę już kilka miesięcy i nie poczuwam się do żadnej winy. Skutek był taki, że za kilka dni doprowadzono mnie na śledztwo. Ku memu zdziwieniu było ono prowadzone przez jakiegoś spokojnego śledczego. Tematem tego przesłuchania, jak i kilku dalszych, była spółdzielnia w Pogrodziu. Mówiłem wszystko, co jej dotyczyło. Prowadzący śledztwo powiedział do mnie

* Domyślałem się, że był to przemysłanin i znalazł mnie jako oficera 5 Pułku Strzelców Podhalańskich.

na zakończenie: „Do takiej spółdzielni i ja chciałbym należeć”. Już w czasie przesłuchiwania pozwolił mi usiąść, a nawet otworzyć lufcik okna; ale z tego powodu mało mnie nie pobił chyba kierownik oddziału śledczego, który wpadł nagle. Skończyło się na krzyku, ale już musiałem odpowiadać na stojąco. Spisujący protokół śledczy w tym czasie siedział cicho jak „mysz pod miotłą” — widać jego przełożony był bardzo groźny...

W malej celce w X pawilonie, gdzie siedzieli przeważnie Niemcy, było nas trzech: adwokat z Warszawy, student bodajże politechniki i ja. Niezasłużone cierpienia, bezwzględna izolacja, trwożne myśli o rodzinie, a także o losie spółdzielni, z którą łączyły mnie ideały twórczej działalności na rzecz postępu i rozwoju polskiej wsi, wszystko to dręczyło mnie bardzo. Podobne udręki kaleczyły serca moim towarzyszom niedoli. Pocięchy szukaliśmy wszyscy w modlitwie wspólnej... i cichej — osobistej. Modliłem się gorąco do Pana Jezusa i do Matki Bożej.

Pewnego dnia, gdy zatopiony byłem w szczerzej modlitwie, która wydawała mi się za słaba, nagle wypowiedziałem z głębi zboląłego serca płynące słowa, pełne czułości: „Ojcie Przedwieczny, Tatuśku mój ukochany”. Słowa te powtórzałem kilkakrotnie, zdumiony i zachwycony nimi, tak nagle i niespodziewanie wypowiedziane przez moje usta. Była to modlitwa udręczonego dziecka do Wszechmogącego Ojca, pełnego dobroci i miłości... Odtąd modliłem się tak codziennie.

Dwa tygodnie później, a było to 5 lutego 1947 roku, otworzyły się przede mną bramy tego straszego więzienia. Dziękując Bogu i Maryi, zaniósłem jeszcze wiadomość o siedzącym ze mną adwokacie do jego rodziny. Nie umiałem już powiadomić rodziny studenta. Wkrótce znalazłem się u moich najmilszych w Elblągu. Wielka radość. Synuś najmłodszy, Tadzio, miał w tym czasie zaledwie osiem miesięcy i właśnie chorował na odrę. Trzymał się uporczywie swojej mamy. Do mnie, mimo objaśnień żony, że jestem jego tatusiem, nie garnął się specjalnie, choć nie bał się. Ja musiałem być w jego dziecięcej wyobraźni ciągle jeszcze nie znanym bliżej panem...

Kilka, czy kilkanaście dni po moim powrocie, gdy choroba Tadzia przemijała, a on ożywił się nieco, starałem się ośmielić go do siebie. Jednego dnia Bronia, żona moja, zaścieliła stół kocykiem, posadziła Tadzia na nim i zabawialiśmy naszego najmłodszego synka, każde na swój sposób... W pewnym momencie, stało się to nagle, ten nie mówiący dotąd prawie nic dzieciak, raczej stroniący ode mnie, trzymający się rąk matki, uśmiechnął się do mnie i powiedział bardzo wyraźnie: „Tatuśku!” Ku wielkiemu zdumieniu nas, jego rodziców, powtórzył to kilkakrotnie — uradowany uściskałem go serdecznie, ale ciągle zdumiony pytam: „Skąd on tak pięknie mówi? Ma przecież starszą siostrę i starszego brata, którzy nazywają mnie tatusiem. Jak w twoim rodzinnym domu zwracaliście się do rodziców?” — pytam się dalej żony. Odpowiada: „Tatusiu, mamusiu... w moim domu rodzicielskim również tak samo”. Skąd ten dzieciak, który do tej pory prawie nic nie mówił, umiał tak pięknie nazwać swojego ojca? Nie mogłem do tego dojść i byliśmy z Bronią pełni podziwu... Zapomniałem zupełnie w tej ciepłej

atmosferze życia rodzinnego, że jeszcze niedawno, będąc w celi więziennej, zwracałem się tak do Ojca w niebiosach. Tadzio przez dłuższy czas jeszcze tak pięknie mnie nazywał, aż po pewnym czasie przejął od starszego swojego rodzeństwa formę: tatusiu, i zaczął nazywać mnie w ten sposób.

Kilka lat później (29 VII 1949 r.), aresztowany już po raz trzeci, znalazłem się ponownie w piwnicach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i gdy przyszło mi się modlić, wypłynęły ze strwożonego mojego serca najpierw słowa: „Ojcze, Tatuśku mój ukochany!” I nagle zajaśniała myśl — teraz już wiem, dlaczego ten maleńki mój synuś tak pięknie też nazwał mnie, swojego ojca.

Największa chwała i uwielbienie Ojcu i Panu naszemu w Jego nieskończonej miłości i miłosierdziu Bożym.

PRZYPISY

¹ Kapitan Maurycy Bolesław Wochanka był oficerem 38 Pułku Strzelców Lwowskich, natomiast funkcjonariuszowi UB chodziło o kapitana Bronisława Wochankę ps. „Ludwik”, „Andrzej” — przed wojną dyrektora Wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy we Lwowie, oficera rezerwy 38 Pułku, inspektora Inspektoratu Rejonowego SZP-ZWZ w Przemyślu, działacza NIE, Delegatury Sił Zbrojnych i w końcu WiN (Zrzeszenia Wolność i Niezależność) na terenie Rzeszowszczyzny w latach 1945–1947.

PAN NASZ KARMIEŁ WIĘŹNIÓW SWOIM CIAŁEM I UMACNIAŁ W SOBIE

To, co pragnę teraz opisać, miało miejsce w Krakowie, w więzieniu śledczym Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na Montelupich. Kilka dni temu doprowadzono nas z piwnic budynku UB przy placu Inwalidów i przewieziono do więzienia na Montelupich. My, więźniowie, byliśmy zaskoczeni tym, co zastaliśmy w naszych nowych „bolnicach”. W miejsce bowiem twardych i gołych prycz zobaczyliśmy łóżka z siennikami, zaścielone białą pościelą, zakryte kocami. Nie było cuchnących kibli, ale, o dziwo... normalne muszle klozetowe ze splotkami. Nie widać było śladów po pluskwach i pchłach, które w wielu piwnicach UB pasły się naszą krwią. Było światło dzienne, a nie drażniąca nasze oczy lampa elektryczna... Trudno nam było zrozumieć tę nagłą troskę o więźniów ze strony naszych codziennych dręczycieli... Zagadka w jakiś czas później wyjaśniła się. Stało się to na skutek interwencji ze strony komisji o charakterze międzynarodowym.

W celi było nas trzech więźniów politycznych. Pewnej niedzieli usłyszeliśmy wypukiwania morsem na ścianie naszego lewego sąsiada... Początkowo, nieufni, nie reagowaliśmy, ale jeden z moich towarzyszy niedoli zdołał odczytać kreski i kropki, z których wynikało, żeby podejść do muszli klozetowej. Gdy zbliżyliśmy się, zaciekawieni, do muszli, usłyszeliśmy, że ktoś do nas mówi... Okazało się, że na skutek awarii kanalizacyjnej woda z muszli spłynęła i powstała możliwość rozmawiania z sąsiadem. Dowiedzieliśmy się, że za ścianą u sąsiadów znajduje się kapłan, który poinformował nas, iż odprawi dzisiaj mszę świętą i udzieli nam rozgrzeszenia, gdy na umówiony znak pukaniem przeprosimy Pana Jezusa za swoje grzechy w pokorze, bijąc się przy tym w piersi... Komunię świętą otrzymamy za pośrednictwem życzliwego więźniom strażnika „Franusia” pod pozorem witamin, które będą przykrywały dwa pakiciki z Hostiami. Komunię z pierwszej paczuski mamy spożyć sami, drugą zaś paczuszkę musimy przechować do zmroku i przekazać więźniarkom pierwszego piętra, których celi znajduje się nad nami. Musimy to uczynić, gdy zacznie się ściemniać, kiedy widoczność z budek strażniczych jest ograniczona. Na znak podany pukaniem w nasz sufit

opuszczają one tak zwanego „konია” (kawalek chleba na sznurku) tuż nad naszym oknem, do którego trzeba przywiązać pakiecik z Hostią świętą. One znowu na znak pukaniem w sufit wciągną pakiecik do siebie.

Był to dzień jakiegoś święta komunistycznego, bo w oddziale śledczym panowała cisza. Widać nasi prześladowcy świętowali i nie „pracowali” nad więziami, a na całym oddziale miał dyżur tylko jeden strażnik — „Franuś”.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy zazgrzytały rygle przy naszych drzwiach i uśmiechający się „Franuś” wręczył mi paczuszkę mówiąc: „Macie tu od sąsiadów trochę witamin!” I zamknął za sobą żelazne drzwi.

Z wielką czcią i ze wzruszeniem przyjęliśmy w naszej celi Pana Jezusa, tak niespodziewanie przybyłego do nas w warunkach, jak by się zdawało, niemożliwych do dokonania czegoś podobnego. Ale „dla Boga nie ma nic niemożliwego”... Umieściłem Hostię świętą pod zagłówkiem mojego łóżka, adorując z kolegami Najświętszego Gościa, klęcząc i oczekując zapowiedzianego przez kapłana znaku do aktu pokuty i rozgrzeszenia. Gdy po pewnym czasie znaczące pukanie odezwało się, z niebywałym wzruszeniem przepraszaliśmy Miłosiernego Pana za nasze grzechy, pozostając jakiś czas w skupieniu, świadomi nadzwyczajnej łaski Bożej, jakiej dostąpiliśmy otrzymując rozgrzeszenie z rąk wspaniałego kapłana. Nastąpił wreszcie cudowny w swoim wyrazie moment przyjęcia Ciała Pana Jezusa do skruszonych i rozradowanych serc naszych... Na prośbę moich kolegów przyjąłem najpierw sam Komunię świętą, a następnie podałem do ust klęczących w pokorze... Pocieszeni i umocnieni przez Jezusa Miłosiernego, kolejno czuwaliśmy w pobliżu umieszczonych pod zagłówkiem, a przeznaczonych dla więźniarek, Hostii świętych. W duchu prosiliśmy Boga, aby nic nie przeszkodziło nam w wykonaniu naszej wzniosłej misji. Była bowiem zawsze możliwość wkroczenia nagle do celi naszych prześladowców.

Przy zapadającym zmroku odezwało się pukanie w nasz sufit. Wyskoczyłem na taboret, zasłonięty plecami kolegi od „judasza”, odchyliłem wysoko umieszczone okno, a gdy zobaczyłem spuszczonego „konია”, szybko umocowałem do niego paczuszkę z Hostiami świętymi. Drugi z kolegów trzonkiem miotły stuknął w sufit. Na ten znak „Święta Przesyłka” powędrowała bez przeszkód do więźniarek.

Nie trzeba dodawać, jak wszyscy byliśmy szczęśliwi, co przeżywaliśmy w sercach naszych. Jezus odwiedził nas, pocieszył, dał nam znak, że nas kocha i jest z nami, a nasze cierpienia nie pójdą na marne...

Wiele miesięcy później, już po ulaskawieniu mnie na dożywocie, gdy byłem w więzieniu Wronki, ten sam mężny kapłan, który w tym czasie również tam się znalazł, przy jakiejś okazji podał mi do ręki zawiniętą w celofan Hostię świętą, którą po powrocie do celi radośnie przyjąłem...

Raz tylko spowiadałem się w więzieniu, chodząc dla niepoznaki po celi, u księdza Józefa Fudali, który, jeśli dobrze jestem poinformowany, zmarł po operacji wykonanej w szpitalu więziennym na Montelupich.

Kapłanem, który udzielał nam Komunii świętej na Montelupich, był ksiądz Zbigniew Gadomski, obecnie wielce szanowany kanonik i proboszcz we wsi zwią-

zanej z historią mojej dywizji konspiracyjnej Inspektoratu AK „Maria” — Kozłów Miechowski (obecnie województwo kieleckie). Ksiądz Z. Gadomski należy do tych kapłanów, którzy oddani w całym swoim „ja” Bogu i Ojczyźnie, w okresie swoich udrek więziennych nigdy nie zapomnieli, że są kapłanami i jako tacy są potrzebni współwięźniom. Ten wspaniały ksiądz Polak, na moją prośbę, rozjaśnił bliżej „tajemnicę” jego apostołstwa kapłańskiego w więzieniach.

A oto jego słowa:

„Mój kapłański obowiązek sprawowania sakramentów i odprawiania mszy świętej uważam za swój zwykły trud, gdziekolwiek los mnie rzuca. Toteż już od pierwszych dni aresztu starałem się współwięźniom służyć, zresztą na ich własną prośbę. Pomimo «kapusiów», którzy byli zawsze wokół mnie, czyniłem swą powinność nie bacząc na konsekwencje. I tu przyszła mi pomoc Boża. I «kapusie» nie «kapowali» akurat tej sprawy, i ludzie pomagali, abym miał wino i komunikanty. Robiliśmy we fiolkach wino z rodzynek i opłatki z proszków aptekarskich, a nieraz ze skórki więziennego chleba (materia wątpliwa, ale Bóg nam to wybaczy...).

A że dawano mnie do cel szczególnych, wyizolowanych gett, stąd ludzie czekający na wykonanie wyroku nie schodzili z tego świata bez pojednania się z Bogiem. Tak więc złośliwość ludzką dobry Bóg obrócił na korzyść ludzi pragnących Boga... Stąd na spacerach, gdy chodzący więźniowie i więźniarki zerkali w stronę okna, gdzie za «żelazną firanką» kapłan, jak na placu boju, dawał tym, «co bili się w piersi» — rozgrzeszenie.

Pomysłowość więźniów była nieograniczona! Alfabet Morse’a, w kolejce do lekarza, w łaźni, w staniu pod ścianą, na widzeniach itd., to były sposoby porozumiewania się, podawania Komunii świętej. I znowu cud! Nie zdarzyły się profanacje, mimo że często kryminaliści siedzieli z politycznymi, że byli różnowyznaniowcy lub ateści. Byli również w służbie więziennej prawdziwi ludzie, którzy zamawiali u księdza więźnia msze święte, przynosili wino, opłatki, również lekarze więzienni przynosili «z wolności» potrzebne rzeczy. Nieraz wykorzystano rozwalone mury, piece, aby podać do celi pakiecik z Najświętszym Sakramentem... Jeśli chodzi o muszle klozetowe, po prostu latem brakowało wody i ciśnienie było za słabe... wypełniało je także «Słowo Boże» słyszane w całym więzieniu...”

Przed Bożym Narodzeniem 1950 roku, będąc w jednej celi z „Opalem” (Marian Topór), z „Józwą” (Józef Śliwa), a potem z innymi żołnierzami ze 106 Dywizji Piechoty Armii Krajowej Inspektoratu „Maria”, mianowałem ustnie księdza Zbigniewa Gadomskiego kapłanem więziennym swej dywizji i nadałem mu stopień porucznika.

Tego wspaniałego kapłana, pokrzepiającego Świętym Sakramentem nas, maltretowanych i skazywanych na śmierć przez wrogów Polski żołnierzy Armii Krajowej — słusznie nazwaliśmy naszym kapłanem w walce o nasze dusze... Został on zweryfikowany przez swojego dowódcę dywizji do stopnia kapłana-majora i odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami oraz Krzyżem Armii Krajowej.

NIEPOKALANE SERCE MARYI POCIESZA I UMACNIA

To, co teraz opiszę, miało miejsce w trzecim lub czwartym roku mojej udręki więzienia politycznego, siedzącego od wielu miesięcy samotnie w izolatce piwnicznej UB w Krakowie.

Pewnego dnia przerzucono mnie nagle do dużej celi piwnicznej z małym zakratowanym okienkiem wychodzącym na plac Inwalidów. W tej celi zastałem kilku podobnych mi więźniów, co oczywiście sprawiło mi radość. Moje nagle zjawienie się w celi spowodowało wzajemne ożywienie i zaciekawienie. Padają pytania... poznajemy się wzajemnie... kilku siedzących już dłużej więźniów wiedziało o licznych aresztowaniach i okrutnym śledztwie „Tysiaca” i jego żołnierzy ze 106 Dywizji Piechoty AK i w ogóle żołnierzy z Inspektoratu Rejonowego AK Miechów, Olkusz, Pińczów („Maria”).

Przerzucenie mnie do celi ze światłem dziennym z tak zwanej „pojedyńki” i włączenie do grona innych więźniów wzbudziło we mnie nadzieję lepszego jutra... Moi współtowarzysze niedoli okazali mi dużą życzliwość, zwłaszcza jeden z nich, który prawie mnie nie odstępował i wypytywał o różne sprawy, a szczególnie o moją przeszłość żołnierską. Wkrótce zorientowałem się jednak, że ta jego ciekawość jest podejrzana... Ponieważ jednak zawsze mówiłem prawdę, nie mogłem się mylić w swoich zeznaniach w śledztwie, a więc i w moich wy-nurzeniach przed nim i kimkolwiek innym.

Minęło zaledwie kilka dni i znowu nagle, jeszcze przed pobudką, wtargnęła do naszej celi kilkusobowa grupa ubowców, na czele z zastępcą szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Kazano nam usiąść na pryzkach, a szef podchodził do każdego więźnia — drwił z każdego... W pewnym momencie, gdy był już blisko mnie, udając, że dopiero mnie zobaczył, zawołał podniesionym głosem ze złośliwym wyrazem twarzy: „O! Pan pułkownik tutaj? Nie mieliście dla niego innego miejsca?” Któryś z jego „asystentów” coś pospiesznie szeptał mu do ucha. Widocznie wyjaśniał mu powód przeniesienia mnie do tej celi (którego domyśliłem się wcześniej), ale on ze złośliwym krzykiem rozkazał: „Zabrać go stąd!”

Popędzany, musiałem szybko zabrać swoje rzeczy i, poprzedzany przez szefa, wepchnięty zostałem do ciemnej celi. Tam zobaczyłem starszego już wiekiem mężczyznę w białym, stojącego bosonóż na wilgotnym betonowym podłożu w postawie zasadniczej i meldującego się „wyższej władzy”, która obsypała go złośliwymi drwinami.

Wreszcie ubowoczy wychodzili z celi, żelazne drzwi zatrzasnęły się — zostaliśmy sami, ja i nieznany mi starszy pan jako nowy mój współwięzień. W rozmowie, którą szybko nawiązaliśmy między sobą, dowiedziałem się, że jest on wyznawcą sekty Jehowy i zalicza się do starszych tego wyznania. Był to człowiek skromny i, jak zapamiętałem, zawsze na dobranoc życzył mi błogosławieństwa Bożego. Ze zrozumiałych powodów wkrótce w naszych rozmowach zesłaliśmy na tematy religijne.

Bodaj już następnego dnia zapytałem go: „Czym się różni wasza wiara od mojej?” Odpowiedział: „Nasza wiara jest najlepsza!” Ja cierpliwie powtórzyłem swoje pytanie, oświadczając najpierw, że moja wiara jest najlepsza, ale ponieważ nie znam jego wiary, chcę się dowiedzieć, czym się różni od wiary katolickiej.

Jehowita jakby nie słyszał mego pytania i nie wiedział, o co mi chodzi, znowu stwierdził, że jego wiara jest najlepsza. Sądząc, że on ciągle nie rozumie, przypomniałem mu, że był on katolikiem, zanim został jehowitą, a więc łatwo może określić różnice. On jednak po raz trzeci oświadczył, że jego wiara jest najlepsza. To wreszcie zdenerwowało mnie i uderzając pięścią o pryzkę krzyknąłem: „Panie, albo będziemy rozmawiać jak ludzie rozumni, albo nie!” Wówczas on, jakby zmięty, czy zrozumiał wreszcie moje pytanie, próbował wmówić mi, że Chrystus nie jest Bogiem, lecz tylko synem Boga, a matka jego jest zwyczajną kobietą i nie trzeba się do niej modlić.

Poruszony jego wypowiedziami, całkowicie już opanowany, przypomniałem sobie nagle opisaną w Ewangelii św. Jana scenę spotkania Pana Jezusa z uczniami po ośmiu dniach od Zmartwychwstania w domu, w którym był również Tomasz. Jak wiemy, w czasie pierwszego spotkania z Chrystusem był on nieobecny i nie uwierzył apostołom, że zmartwychwstały Jezus był z nimi. Pan Jezus zwrócił się wówczas do Tomasza i kazał mu dotknąć swoich ran i przebitego boku, dodając: „Nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym”. Zapytałem jehowitę: „Co powiedział Tomasz, gdy dotknął ran i boku Pana Jezusa?” A gdy na moje pytanie nie odpowiadał, zacytowałem: „Pan mój i Bóg mój”, a Jezus nie zaprzeczył. Gdy jehowita w dalszym ciągu milczał, ja, aby lepiej zrozumiał istotę słów Tomasza, użyłem porównania, jakie nasunęło mi się wtedy na myśl, i powiedziałem: „Pies jest synem psa i jest psem, pan jest synem człowieka i jest człowiekiem, Syn Boga jest Bogiem!”... Jehowita nic na to nie odpowiedział, ale bojąc się widocznie rozwinięcia tego tematu, zaatakował nagle Maryję i Jej Niepokalane Poczęcie. Powtórnie stwierdził, że Maryja była zwyczajną kobietą, jak inne matki, urodziła wprawdzie syna Boga, ale nie ma żadnego znaczenia i nie należy się do Niej zwracać z prośbami i czcić Ją, jak to czynią katolicy.

Podrażniony brakiem logiki w jego rozumowaniu, zapytałem go: „Czy jest to możliwe, by Syn Boga, a więc Świętość i Przystość, mógł wejść do łona

kobiety, która nie byłaby tego godna? Bóg wybrał na matkę swojego Jedyne­go Syna dziewicę Maryję, która słynęła z pobożności i świętości. On mocą swoją uświęcił Jej lono tak, aby godne było przyjąć Odkupiciela Jezusa i dać Mu ciało Matki Jego Dziewicy. Inaczej nie mogło być”. Aby mu to lepiej uzmysłowić, dałem mu przykład logiczny, że jeśli­by go spuszczone przez komin w białym ubraniu, to przecież wyszedł­by z niego ubrudzony.

A to, że Ona po urodzeniu Syna Bożego ma znaczenie — miła jest Bogu i Pełna Łask Wszelkich, to jasne, bo czy jest do pomyślenia w ogóle, aby Bóg, Miłość Nieskończona, mógł zapomnieć o Maryi, Matce Jego Syna, i był nie­czuły na Jej prośby?...

I znowu dałem mu przykład następujący:

„Żyliśmy kiedyś w zgodzie razem pan i ja, ale pewnego dnia ktoś o panu wyraził się bardzo źle, a według mojego przekonania był to człowiek wiarygodny. Pozostałem pod jego wpływem i oddaliłem się od pana. Po pewnym jednak czasie przekonałem się, że to, co mówił o panu ten nowy mój znajomy, jest kłamstwem. Czuję się z tego powodu zawstydzony, w dodatku straciłem pracę, mam na utrzymaniu pięć osób — a jestem przekonany, że właśnie pan mógł­by mi pomóc w otrzymaniu nowej pracy. Nie mam jednak odwagi prosić pana o przebaczenie i o pomoc. Wiem jednak, że ma pan bardzo dobrą i szlachetną matkę. Udaję się więc do niej i proszę o wstawienie się za mną u jej syna. Dobra pańska matka uspokaja mnie i zapewnia, że pan mi wybaczy wszystko i pomoże w uzyskaniu pracy, bo jest pan dobrym człowiekiem, a ona przemówi za mną życzliwie. I rzeczywiście, kiedy powrócił pan do domu, matka pańska przemówiła gorąco za mną. Jak więc postąpi pan, wysłuchawszy jej prośby, Kochając swoją matkę naprawdę?”

Jehowita zamyślił się i odpowiedział po pewnym czasie: „Wysłucham prośby matki”.

„Jeśli jest tak, jak pan mówi, to jak to jest możliwe, aby ten najlepszy syn — Bóg, Jezus, wzór dla nas, miał za nic prośby swojej matki, gdy prosi i wstawia się za nami do Niego?”

On jednak w dalszym ciągu zaprzeczał Przczystości Najświętszej Panny Maryi. Oburzony do głębi zawołałem, bijąc znowu pięścią o pryczę: „Zabraniam panu więcej tak mówić. Matka Boża, Maryja, jest Niepokalana!” — i przestałem z nim mówić na tematy religijne.

Rozmowa nasza miała miejsce w poniedziałek, a w sobotę zabrano go z mojej celi. W nocy miałem bardzo miły sen. Widziałem wewnątrz nie znanej mi świątyni. Z obrazu zeszła Matka Boża i podeszła bardzo blisko mnie, nic nie mówiąc, a miała ręce skrzyżowane na piersiach i głowę pochyloną. Trwało to przez krótki czas. Gdy obudziłem się, zdałem sobie sprawę, że tak przedstawiają Matkę Bożą malarze. Matkę Bożą ze Zwiastowania. A więc Matka Boża mi coś zwiastuje. Doświadczyłem już, że jeśli śnił mi się Jezus Cierpiący lub Matka Boża Bolesna, znaczyło to, że czeka mnie ciężkie śledztwo. Było to ostrzeżenie, pomagające mi

łatwiej przetrwać czekające mnie cierpienia. Gdy jednak śnił mi się Jezus pogodny albo pogodna Maryja, znaczyło to, że spotka mnie coś dobrego. Pamiętam, że była to noc z 30 września na 1 października (29 września było świętego Michała Archanioła, a więc moje urodziny).

Po pobudce i wykonaniu porannych czynności zostałem wezwany przez oddziałowego do wyjścia z celi. Okazało się, że otrzymałem paczkę. Oddziałowy kroił gorliwie nożem wszystko, co było w paczce, bo mogło być tam coś zakazanego. W celofanowym papierze było masło, które w górnej części celofanu kroił kilka razy. Było nieco rozmiękłe, więc ledwie doniosłem je do celi.

Oczywiście paczka sprawiła mi radość. Odtąd piłem już słodką czarną kawę, jaką dawano nam na śniadanie, a czarny chleb, który nazwaliśmy „koksem”, posmarowany masłem smakował bardzo. Cały tydzień korzystałem ze „smakolyków” podanych mi w paczce i na dodatek nie wzywano mnie na śledztwo... W niedzielę, gdy łyżką drewnianą, w jaką byłem wyposażony przez władzę więzienną — sięgnąłem już po resztę masła ze znakami po nożu, nagle zauważyłem, że błysnęło coś metalowego. Ku mojej wielkiej radości był to medalik Matki Bożej Niepokalanej...

W rodzinie naszej trwał kult Matki Bożej Leżajskiej, od czasu gdy jako mały chłopiec zostałem cudownie uleczony przez Maryję ze skutków szkarlatyny, po której pozostał mi wyciek ropy w prawym uchu, o czym wspominam szerzej w innym miejscu.

Zdawało się, że powinna mi moja kochająca mnie matka, Aniela, przysłać raczej medalik z podobizną Matki Cudownej Leżajskiej, a przysłała zwyczajny, blaszany medalik Niepokalanej... Odczułem ten fakt jako znak dany przez Maryję dla Jej czciociela, wielbiącego Jej Niepokalane Poczęcie wobec jehowity. Gdy zdałem sobie z tego należycie sprawę, serce moje zabiło jeszcze silniej miłością i wiarą w Jej Niepokalane Poczęcie. Był to wspaniały Boży Dar dla będącego w bezustannym cierpieniu więźnia.

Trzymając w dłoni medalik, jako skarb niezwykle — rozważałem, jak go ukryć przed oczyma podpatrujących ciągle oddziałowych, a szczególnie gorliwie węszących w czasie przeprowadzanych od czasu do czasu rewizji osobistych i celi, zwanych przez nas „kipiszem”. Wiedziałem, że jeśli znajdą mój medalik, to zabiorą go i w najlepszym wypadku dadzą do depozytu. Wreszcie wyciągnąłem z ręcznika nitkę i założyłem medalik na piersiach pod koszulą, zdecydowany bronić go przed zabraniem.

Będąc już w posiadaniu medalika, przeżyłem kilka „kipiszów”, nigdy jednak nie znajdowali go kipsisujący. Dwukrotnie szukali nawet na moich piersiach, wkładając ręce pod koszulę, ale albo nie namacali medalika, albo nie chcieli go znaleźć.

Pewnego dnia, gdy najmniej spodziewaliśmy się „kipiszu”, nagle kazano nam wychodzić z celi i po raz pierwszy mnie jednego wyprowadzono do rewizji poza obrębem tzw. „Getta”. Była to część piętrowego więziennego, odgrodzonego

żelazną kratą, gdzie mieściły się cele śmierci. Przyprowadzono mnie na dyżurkę oddziałowych. Oddziałowy kazał mi się rozbierać i gdy zauważył, że mam medalik na piersiach, krzyknął: „Zdejmijcie go!” Odpowiedziałem natychmiast: „Nie dam go!” — i szybko zacząłem się ubierać. Oddziałowy zaalarmował całą „kipiszującą” ekipę i wkrótce wszyscy znaleźli się w dyżurce. Sierżant kierujący „kipiszem” zażądał wydania medalika, jak zapewniał mnie, do depozytu, ponieważ nie wolno więźniowi posiadać metalowych przedmiotów. Odpowiedziałem, że nie dam medalika, bo jest on dla mnie świętością, a jak chcą, niech zabierają siłą... Po dłuższym nacisku na mnie, abym oddał jednak medalik do depozytu, na skutek ciągłej mojej stanowczości sierżant w końcu powiedział: „Zadecyduje o tym naczelnik!”, i wprowadzono mnie do celi. Naczelnik widać zadecydował na moją korzyść, choć mnie o tym nie powiadomiono. Medalik wędrował ze mną po więzieniach i wyszedł razem ze mną na wolność. Trzeba zaznaczyć, że miało to miejsce po 1953 roku, kiedy stosunek „władzy” do więźniów złagodniał nieco.

MATKA BOSKA PEŁNA RADOŚCI, SZCZĘŚCIA I CHWAŁY

Wydarzenie, które opisuję miało, miejsce w okresie świąt Bożego Narodzenia i było, jak wierzę, darem Miłości Bożej wyproszonym przez Matkę Radosną — Maryję.

W swojej, już około 3-letniej, udręce więźnia, pozostającego ciągle jeszcze w śledztwie, pod zarzutami nie mającymi nic wspólnego z prawdą, znajdowałem zawsze pokrzepienie w modlitwach. Poprzez Matkę Bożą wołałem najczęściej do Ran Odkupiciela, do Miłosierdzia Bożego. Koronkę do Miłosierdzia Bożego nauczył mnie odmawiać siedzący jakiś czas ze mną w celi piwnicznej młody ksiądz jezuita z Krakowa.

Zapewne pod wpływem przede wszystkim przeżyć wewnętrznych, jakie trapiły mnie zwłaszcza w okresie świąt Bożego Narodzenia, kiedy tęsknota za rodziną była szczególnie trudna do zniesienia, zrodziło się we mnie głębokie przekonanie o wielkiej radości Matki Bożej, kiedy urodziła Dziecię Boże. Każda przecież dobra matka, kiedy urodzi dziecko, jest szczęśliwa i raduje się, a Maryja była nie tylko szczęśliwa i radosna, ale i pełna chwały, gdyż wiedziała, kim był Jej Syn, Jezus.

Rozważając tę prawdę, modliłem się codziennie do Matki Najświętszej, uwielbiając Ją jako Matkę Boską, Pełną Radości, Szczęścia i Chwały, z gorącą wiarą, że wyprosi mi pociechę oraz łaski radości u Boga. Tak wytrwale modliłem się przez dłuższy czas. Wreszcie gdy znalazłem się samotny w nowej celi piwnicznej i już od kilku dni w tej nowej „bolnicy” modliłem się do Matki Pełnej Radości, Szczęścia i Chwały, walcząc z samotnością i przygniatającymi mnie coraz bardziej cierpieniami — stało się coś, co zostało zapisane na zawsze w mojej pamięci, a sercu przyniosło wielką radość.

Pewnej nocy przyśnił mi się cudowny sen. Oto ujrzałem bardzo wyraźnie przepiękną panią o jasnych włosach, a obok niej chłopczyka dwu- lub trzyletniego, zupełnie podobnego do swojej, jak byłem przekonany, matki, tej przepięknej pani. Zarówno matka, jak i syn uśmiechali się do mnie, radośnie, przecudownie... Po pewnym czasie zniknął ten radosny obraz, a miejsce jego zajął drugi. Zoba-

czyłem na nim, co było dla mnie zupełnie jasne, postać Matki Bożej, która stała jakby nieco w oddali, trzymając na lewej ręce dwóch chłopczyków. Zapytałem, który to jest Pan Jezus? Wówczas ten będący bliżej oblicza Matki podniósł prawą rączkę, a na niej zobaczyłem wyraźnie widoczną ranę. Następnie podniósł lewą rączkę, i na niej też spostrzegłem widoczny znak męki Jego. Nie miałem wątpliwości — to był Jezus, a ten drugi — byłem pewny, że to święty Jan Chrzciciel. I ten obraz po chwili znikł, a powrócił obraz pierwszy. Jeszcze raz ujrzałem Maryję i Jezusa uśmiechających się do mnie nadzwyczaj pięknie i radośnie... Ten obraz też znikł, a ja, w czwartej scenie tego przepięknego snu, zobaczyłem siebie, pochylonego nad miednicą więzienną i myjącego się. W pewnym momencie ogarnął mnie niepokój, bo oto zginął mi nagle medalik z wizerunkiem Niepokalanej, który nosiłem zawieszony na szyi (medalik ten niedawno dostałem w paczce żywnościowej ukryty w maśle, którego nie wykrył krający go nóż strażnika, a otrzymałem go, jak wierzę, od Niepokalanej, po „batalii” z jehowitą, który zaprzeczał Jej Niepokalanemu Poczęciu). Wreszcie uspokoiłem się, bo znalazłem medalik po mojej lewej stronie na podłodze.

Byłem i jestem ciągle pod wrażeniem tego przepięknego snu, w którym ujrzałem Jezusa i Maryję.

W jakiś czas później, naprawdę, kiedy się myłem, zginął mi medalik, i gdy z trwogą szukałem go, znalazłem obok na podłodze, ale po mojej prawej stronie. Sądzę, że ponieważ byłem w tym czasie bardziej przygnębiony, medalik przypomniał mi moje widzenie i zostałem pocieszony i umocniony na nowo. Codziennie z wielką ufnością modliłem się wytrwale do Jezusa i Maryi, wspominając to nadzwyczajne widzenie Matki i Jej Syna uśmiechających się radośnie do mnie...

Rok czy dwa lata później znalazłem się w celi więziennej wśród trzech współtowarzyszy niedoli. Właśnie zbliżały się następne święta Bożego Narodzenia. Pewnego dnia nawiedziła mnie myśl o rozpoczęciu nowenny do Matki Bożej Pełnej Radości, Szczęścia i Chwały. Zaproponowałem moim cierpiącym kolegom wspólną nowennę, zapewniając, że w dniu Wigilii otrzymamy jakąś radość i pociechę od naszej Najświętszej Matki i Jej Syna. Nie wiem skąd ta pewność była we mnie, że tak stanowczo twierdziłem, ale tak było naprawdę.

Leżąc już w łózkach więziennych, tuż przed zgaszeniem światła, odmawialiśmy nowennę słowami modlitwy, jaką ułożyłem kiedyś i codziennie odmawiałem do Matki Pełnej Radości, Szczęścia i Chwały. Minęło dziewięć dni nowenny.

Była sobota wigilijna. Wigilia, jeśli dano nam spokój w tym dniu, była dniem wzmożonej tęsknoty za najbliższymi i wolnością... I tym razem, po naszej szczerze odprawionej nowennie, rozpoczął się nowy szary dzień więzienny, pełen rygorów stosowanych wobec więźniów. Po wspólnej modlitwie, jaką odmówiliśmy w naszej celi, każdy z nas pograżył się w swoich gorzkich myślach i rozważaniach nad swoją niedolą... Nagle gwałtowny zgrzyt klucza w zamku żelaznych drzwi i stuk zasuwki wyrwał nas z rozmyślań, a serca zabiły gwałtownie — przychodzą po któregoś z nas... czyżby na śledztwo, a więc na dalszą mordęgę... Otworzyły się

drzwi i oddziałowy wywołał naszego kolegę, kaprala rezerwy, zanego i dzielnego człowieka. Jak to było w naszym zwyczaju, odmówiliśmy krótką modlitwę w jego intencji, przekonani, że wzięli go na śledztwo.

Zaledwie jednak upłynęło kilka minut, ku naszemu zdziwieniu wrócił nasz kolega roześmiany — otrzymał paczkę żywnościową od rodziny.

Na wieczerzę wigilijną dawano nam, jak prawie na każdą kolację, chochlę przypalanej kaszy jęczmiennej... a tu paczka... Zanim zdążyliśmy się zapoznać z zawartością paczki, rygle znowu zgrzytnęły, a oddziałowy wezwał mnie. Szedłem przed oddziałowym niepewny, dokąd on mnie prowadzi. Tym razem na dyżurkę oddziałowych, bo i ja otrzymałem paczkę... Uradowany wróciłem do celi... Radość zapanowała wśród nas... W tym roku będziemy mieli lepszą Wigilię... Mimo pociechy spowodowanej paczkami, a w szczególności pamięcią naszych bliskich o nas, my dwaj już obdarowani szybko zauważyliśmy smutek pozostałych dwóch kolegów... Wydano nam już obiad, mijaly godziny popołudniowe w różnych nastrojach... Ale oto znowu otworzyły się drzwi naszej celi i oddziałowy wywołał trzeciego kolegę. Ten był również żołnierzem, kapralem rezerwy, także zycznym i dzielnym. Martwił się ciągle o swoją gospodarkę, o konia Siwka, którego poza najbliższymi najczęściej wspominał... Nie miał syna, same kobiety zostały na gospodarstwie... Czy dają sobie radę, czy nie zmarnują troskliwie wychowanego przez niego Siwka, który był jego dumą jako hodowcy?

Kapral długo nie wracał. Przypuszczaliśmy, że był przesłuchiwany... Wreszcie po około czterdziestu minutach wrócił do celi ze łzami w oczach, ale równocześnie z uśmiechem na twarzy. „Płaczę — powiedział — ale ze szczęścia, dano mi bowiem do przeczytania list z domu i pokazano fotografię ze ślubu mojej córki. Mam zięcia, podobno jest bardzo dobrym gospodarzem i porządnym chłopem. Teraz wierzę, że gospodarstwo nie zmarnuje się, a i mój Siwek jest pod dobrą opieką. Pociuszają mnie też moje drogie osoby, że wkrótce wyjdę na wolność”.

Został jeszcze jeden z naszej czwórki, który jak dotąd nie otrzymał pociechy za przyczyną Matki Radosnej, bo nie mieliśmy żadnej wątpliwości, że to, co dotąd się wydarzyło, było Jej darem wigilijnym... Nie był on więźniem politycznym, a tylko podejrzanym o jakieś nieznaczne nadużycia gospodarcze. Gdy czas jego wyczekiwania wydłużał się, zwrócił się do mnie mówiąc ze smutkiem: „To ja, panie pułkowniku, już chyba nic nie otrzymam. Minęła już godzina osiemnasta i administracja już nie urzęduje, mogę jedynie pójść na śledztwo”. „Nie obawiaj się. Na pewno i ty otrzymasz łaskę od Radosnej Matki” — odpowiedziałem z dziwną wewnętrzną pewnością (brał przecież udział w naszej nowennie).

Był on żonaty z wychrzcianką, córką, jak określał, bogatego kupca i piękną niewiastą, przyzwyczajoną do dobrobytu. Obawiał się, że nie da sobie sama rady z wychowaniem dwóch córeczek i że może mu być niewierna. Swymi obawami dzielił się często z nami, a nawet mimo naszych perswazji zamęczał nas tym swoim żalonym tematem... Teraz spojrział na mnie, uśmiechnął się i zdawał się być nieco uspokojony.

Rzeczywiście w kilka minut później został wywołany i nie było go około godziny. Przyszedł rozpromieniony, radosny. Przez ramię miał przewieszony szalik wełniany i sweter. „Miałem widzenie z żoną” — i objaśnił nam bliżej, że widzenie odbyło się w jednym z pokoi urzędowych, pozwolono im uściskać się i siedzieć obok siebie... Żona wykluczyła wszystkie jego obawy, jakie go „gryzły”. Daje sobie radę ze wszystkim, córki zdrowe i wspominają często ojca, i oznajmiła, że na pewno wkrótce już wyjdzie, jak zapewniał ją adwokat — na wolność, gdyż sprawa jego jest małej wagi i wyjaśnia się.

Tak więc nasza nowenna do Matki Bożej Pełnej Radości, Szczęścia i Chwały zaowocowała jakże radosnymi łaskami. Za Jej sprawą cała nasza czwórka, ufna w Jej dobroć i moc, została pocieszona, a równocześnie umocniona w wierze w nieskończoną miłość Boga, w Jego obecność wśród nas, w Jego opiekę nad nami przez niezawodne wstawiennictwo Matki Najświętszej. Nasza Wigilia nie była już tak bardzo smutna. Wdzięczni, zanuciliśmy jedną z kolęd i długo przeżywaliśmy w sercach naszych to wszystko, co się wówczas stało.

POZNAŁEM I DOSTĄPIŁEM MIŁOSIERDZIA BOŻEGO I PRAGNĘ JAK NAJLEPIEJ MU SŁUŻYĆ

Pamiętam ciemną piwnicę i nas kilku więźniów, żołnierzy Armii Krajowej, siedzących na drewnianych pryzkach i pograżonych w swoich, jakże bardzo smutnych, myślach... Przez jakiś czas był wśród nas ksiądz jezuita z Krakowa, który przewodził w naszych codziennych modlitwach, umacniał w wierze i opowiadał o niezmiernym miłosierdziu Bożym wobec każdego człowieka.

Pamiętam sylwetkę tego kapłana: młody (około 30 lat), średniego wzrostu, o włosach ciemnych i obliczu bardzo miłym. On pierwszy zapoznał mnie z cudownymi objawieniami siostry Faustyny Kowalskiej o Miłosierdziu Bożym, służi Bożej z zakonu Sióstr Matki Miłosierdzia. Przemoc wrogów, służalców zdradliwego reżimu komunistycznego, rozdzieliła nas wkrótce. Nagle zabrano go z celi i nigdy już o nim nie słyszałem, ale pamiętać go będę zawsze. To on pierwszy nauczył mnie koronki do Miłosierdzia Bożego. Ta koronka, obok modlitw do Ran Chrystusa i Niepokalanego Serca Maryi, była moją ostoją i siłą do przetrwania wieloletnich cierpień w „bratniej” niewoli...

Po wyjściu z więzienia, ocalony od śmierci, dzięki Miłosierdziu Bożemu i Niepokalanemu Sercu Matki Bożej — stale modliłem się do Króla Miłosierdzia, ale to miało znaczenie osobistej więzi mojego „ja” z moim Zbawcą.

Widocznie jednak Pan uważał, że to jest za mało, bo przysłał do mnie kogoś w rodzaju anioła w ludzkim ciele, a miało to miejsce gdzieś w połowie 1972 roku. Pewnego dnia zapukała do drzwi mego domu starsza pani, nie-dużego wzrostu, dość już pochylona i jak zapamiętałem, w niezbyt modnym kapelusiku, bardzo skromna i wåtła, ale jakże wspaniałego ducha, jak wkrótce mogłem to stwierdzić.

Przyszła do mnie, jako miejscowego parafianina, parafii św. Jerzego, po rozmowie z księdzem dziekanem, w tym czasie prałatem, dzisiaj już infułatem, Mieczysławem Józefczykiem. Przyjechała do Elbląga z Poznania w odwiedziny do swojej siostry, ale też i z intencją zaszczepienia w naszym mieście kultu Miłosierdzia Bożego, którego jest głosicielką w szczególności na terenie Poznania.

W tej sprawie zwróciła się do mnie... Odpowiedziałem: „Dobrze pani trafiła — ja zajmę się apostołstwem Miłosierdzia Bożego”. I rozstaliśmy się serdecznie.

Wkrótce po tej rozmowie z panią Aleksandrą Czerwiak, czcicielką Miłosierdzia Bożego z Poznania, udałem się do mojego proboszcza, księdza kanonika Mieczysława Wojciuka, z którym byłem w zażyłej przyjaźni. Trafiłem dobrze, bo zastałem go w jego mieszkaniu przy ulicy Piechoty. Przedstawiłem mu cel swojego przybycia, a on wskazał mi obraz Króla Miłosierdzia wiszący na ścianie jego pokoju i powiedział: „Jest to kopia pierwszego obrazu namalowanego pod dyktando siostry Faustyny przez artystę malarza Eugeniusza Kazimirowskiego¹ w Wilnie. Przyszedł okres bardzo silnych nalotów bombowych na miasto. Trzeba wiedzieć, że w Wilnie jest ponad siedemdziesiąt kościołów i stąd niektórzy nazywają go «Rzymem Północy». Ciekawe, że w czasie licznych nalotów bombowych tylko jeden kościół został zbombardowany, ten — w którym nie było jeszcze obrazu Króla Miłosierdzia. Tam, gdzie wierni modlili się do Miłosierdzia Bożego przed Jego objawionym obrazem, nikomu nic złego się nie stało, a już obok były zbombardowane domy, pożary, ludzie zabici lub ranni...”

Ksiądz Mieczysław chętnie zgodził się na zapoczątkowanie czci do Miłosierdzia Bożego w naszej parafii. Początkowo odmawialiśmy koronkę tylko podczas zmiany tajemnic różańcowych (ja w tym czasie byłem zelatorem róży czwartej). Po pewnym czasie zaczęliśmy częściej odmawiać koronkę w różnych intencjach zwykle po mszy świętej oraz braliśmy udział w święcie Miłosierdzia Bożego. Natomiast nieustanny wyraz uwielbienia Miłosierdzia Bożego przejawiał się w praktykach modlitewnych członków różańca żywego przez codzienne odmawianie różańca i koronki. Zapewne to łączenie obydwu modlitw dało później impuls do powstania Gwardii Jezusa i Maryi, jako odrębnej grupy modlitewnej ku czci Jezusa i Maryi, Króla i Matki Miłosierdzia.

W lutym 1978 roku, na moją prośbę, a za zgodą drugiego już proboszcza parafii św. Jerzego, księdza Janusza Końca, ustanowione zostało stałe nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego, we czwartki każdego tygodnia, według zatwierdzonego przez księdza proboszcza, przedstawionego przeze mnie układu. Nabożeństwo to jest stale kontynuowane i jest wyrazem stale rosnącej pobożności wiernych, którzy pokładają ufność w Miłosierdziu Bożym. W czasie nabożeństwa odczytywane są prośby i dziękczynienia za otrzymane już liczne łaski Króla Miłosierdzia.

Pan Jezus objawiając się siostrze Faustynie powiedział: „Podaję ludziom naczynie, z którym mają przychodzić po łaski do źródła Miłosierdzia. Tym naczyniem jest ten obraz z podpisem: «Jezu, ufam Tobie!» (Dz. I, 327). Nie znajdzie ludzkość uspokojenia, dopokąd się nie zwróci z ufnością do Miłosierdzia Mojego (Dz. s. 128). Daję światu ostatnią deskę ratunku...”

Pierwszy obraz Króla Miłosierdzia Bożego w naszym kościele był oleodrukiem i został poświęcony podczas pewnych rekolekcji przez kaznodzieję z zakonu Jezuitów. Obecny obraz jest darem rodziny śp. księdza Mieczysława Wojciuka, o którym już była mowa wyżej, a który otrzymał go w czasie prymicji kapłańskiej.

Ksiądz prałat Jan Halberda, obecny proboszcz parafii św. Jerzego, rozwinął kult Miłosiedzia Bożego przez wprowadzenie modlitwy adoracyjnej po pierwszej mszy świętej, odprawianej w każdą niedzielę w intencji parafian, w której modlimy się o beatyfikację siostry Faustyny,² oraz jej spowiednika księdza Michała Sopoćko, także sługi Bożego. Za sprawą księdza proboszcza każde święto Miłosierdzia Bożego, poprzedzone nowenną, obchodzone jest w naszej parafii szczególnie uroczyście, od pierwszej niedzieli po Wielkanocy do soboty następnego tygodnia.

Należy podkreślić, że parafia św. Jerzego w Elblągu, ze swoją nowo wybudowaną świątynią pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego, jest ośrodkiem kultu Miłosierdzia także dla wielu parafii miasta i dalszej okolicy.

PRZYPISY

¹ Eugeniusz Marcin Kazimirowski (1873–1939) ceniony malarz wileński. Jako pierwszy wykonał pod kierunkiem siostry Faustyny Kowalskiej obraz Króla Miłosierdzia Bożego. Przez pewien czas obraz ten pozostawał w ukryciu, bowiem Święte Oficjum zakazało jego upowszechniania. Dopiero w 1937 roku arcybiskup wileński Romuald Jalbrzykowski pozwolił umieścić go w kościele św. Michała. Dziś obraz znajduje się w kościele św. Ducha w Wilnie.

² 18 kwietnia 1993 roku Ojciec Święty, Jan Paweł II, beatyfikował siostrę Faustynę z udziałem około trzydziestu tysięcy pielgrzymów z Polski i prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Lecha Wałęsy.

„MIŁOSIERDZIE BOŻE WYŚPIEWYWAĆ BĘDĘ”

Zapoczątkowany w roku 1972 w parafii św. Jerzego w Elblągu kult Miłosierdzia Bożego nabierał coraz to żywszych form w modlitwach naszej wspólnoty religijnej. Powiększała się ciągle liczba kół różańcowych, a w tych i liczba czcicieli Miłosierdzia Bożego. Łącząc różaniec z koronką ofiarowaliśmy je w darze Bogu w różnych intencjach. Stało się to już potrzebą i zwyczajem w ramach liturgii kościelnej dzięki zrozumieniu wagi objawień siostry Faustyny Kowalskiej przez pierwszego proboszcza parafii księdza kanonika Mieczysława Wojciuka.

Ale we mnie budziła się potrzeba działania także na zewnątrz parafii św. Jerzego. Czulem to wyraźnie i zdobywszy się na odwagę rozpocząłem głoszenie czci dla Miłosierdzia Bożego w innych parafiach. Pierwszą homilię o Miłosierdziu Bożym wygłosiłem w parafii św. Wojciecha w Elblągu, gdzie proboszczem był w tym czasie ksiądz prałat Aleksander Iwanicki, niegdyś kapelan Armii Krajowej, który już wcześniej zaprzyjaźniony ze mną, z całą serdecznością poparł moją działalność w tym religijnym ruchu.

Wkrótce znalazłem protektorów w parafii św. Pawła w Elblągu, szczególnie w osobach ojców franciszkanów Lucjusza — Stefana Chodukiewicza, i gwardiana Huberta Lipińskiego. Był to rok 1976. W tym samym roku moimi parafiami poza Elblągiem, w których dzięki życzliwości księży proboszczów dane mi było głosić słowo o Miłosierdziu Bożym, były parafie — w Straszewie, gdzie proboszczem był ksiądz Bogdan Rusinowski (były wikariusz parafii św. Jerzego w Elblągu), i w Pogroździu, której proboszczem był ksiądz Waclaw Stefanowicz. Parafię tę, można powiedzieć, zorganizowali żołnierze, pierwsi osadnicy ze 106 Dywizji Piechoty AK Inspektoratu „Maria”. Tu w tej świątyni pierwszym proboszczem Polakiem był drogi mojemu sercu ksiądz „Dan”, Stanisław Ryńca, były kapelan 116 Pułku Piechoty 106 Dywizji Piechoty AK. Była to dla mnie szczególnie droga homilia o Miłosierdziu Bożym, kiedy wpatrzony w słuchaczy,

* Dz. s. Faustyny z III

znajdowałem wśród nich żyjących jeszcze w tej wsi drogich żołnierzy i członków ich rodzin... Boże Miłosierny, dałeś nam tę łaskę spotkania u stóp ołtarza świątyni, w której wysłuchiwałeś nas w naszych prośbach, jakże często pełnych obaw i niepewności jutra...

Kolejnymi parafiami, w których miałem łaskę zapoznawać wiernych z objawieniem o Miłosierdziu Bożym zgodnie z tym, jak Pan Jezus nam przekazał za pośrednictwem siostry Faustyny — były parafie Wszystkich Świętych oraz Świętego Mikołaja w Elblągu.

Parafia Wszystkich Świętych, prowadzona przez księży marianów, to wówczas jeszcze skromna kapliczka na cmentarzu przy ulicy Agrykola, której organizatorem i proboszczem był gorliwy czciciel Miłosierdzia Bożego ksiądz Tadeusz Mierzwiński, chętnie ułatwiający mi spotkania ze swoimi parafianami.

Parafia Świętego Mikołaja to parafia kościoła z połowy XIII wieku odrodzona na ruinach tego wspaniałego zabytku; i tu cisną się wspomnienia z lat jego odbudowy. Po działaniach wojennych ocalały tylko ruiny ścian i wieża żelazna, której konstrukcja oparta jedynie na trzech podporach groziła runięciem w każdej chwili. Przychodzą na myśl godne podziwu i przykładu ofiarne postacie wiernych gorliwie odgruzowujących codziennie drogą już elblązanom świątynię. Szczególną ofiarnością odznaczyli się zorganizowani w sieci zespołów ochotnicy wiernych z całego miasta, którzy chodząc po domach rozprowadzali specjalnie wybite cegielki na odbudowę kościoła wpłacane gotówką do kasy PKO w Elblągu. Z wielkim szacunkiem i uznaniem należy zwłaszcza wspomnieć przewodniczącego komitetu odbudowy kościoła, ówczesnego prezesa sądu w Elblągu, Stanisława Różańskiego, i jego pierwszego zastępcę, dyrektora PKO w Elblągu, Mariana Tomaszewskiego. Mnie, jako drugiemu zastępcy, przypadła rola zorganizowania i kierowania całą akcją zbiórki pieniędzy na rzecz odbudowy kościoła. W tym czasie, trudnym historycznie, potrafiliśmy dzięki zrozumieniu przez społeczeństwo miasta potrzeby odbudowy z gruzów średniowiecznej świątyni oraz dzięki jego dużej ofiarności — zebrać w krótkim czasie ponad milion złotych, który przeznaczaliśmy na remont wieży kościelnej. Techniczna strona odbudowy kościoła spoczywała w doświadczonych rękach inżyniera architekta Włodzimierza Sierzputowskiego, oddanego sprawie całym sercem. Ale natchnieniem i przewodnikiem odbudowy i całego życia katolickiego powstałej parafii był jej pierwszy proboszcz ksiądz kanonik Wacław Hipsz. On to zmuszony po pewnym czasie przez władze polityczne do opuszczenia parafii pozostawił po sobie chwalebne świadectwo odgruzowania świątyni i umocnienia jej murów. Dalszą odbudową kierowali jego następcy, a wśród nich ksiądz prałat Gedymin Pilecki, były kapelan Armii Krajowej. Największe jednak zasługi położył, zwłaszcza przy wystroju wewnętrznym świątyni, ksiądz prałat, a obecnie infułat Mieczysław Józefczyk, także żołnierz Armii Krajowej. Jego szczególne zdolności organizacyjne, wiedza o historii tej świątyni, jego wytrwałość i zdolność pokonywania codziennie napotykanych trudności — dały miastu nie tylko wspaniałą świątynię, ale także piękne domy plebanii odtworzone zgodnie z ich przeszłością historyczną.

Kiedy zwróciłem się do księdza prałata w sprawie wygłoszenia homilii o Miłosierdziu Bożym w kościele Świętego Mikołaja, nie tylko udzielił mi zezwolenia, ale nawet zaprosił mnie na zebranie dekanalne księży, umożliwiając mi zapoznanie kapłanów z moją działalnością szerzenia czci Miłosierdzia Bożego, na podstawie objawień siostry Faustyny Kowalskiej, i w ten sposób utorował mi drogę do dalszego kontynuowania mojej skromnej misji, nastawiając księży do niej życzliwie.

Odtąd miałem wielokrotnie możliwość mówić wiernym o objawieniu siostry Faustyny Kowalskiej oraz o potrzebie głoszenia i szerzenia czci Nieskończonego Miłosierdzia Bożego w wielu innych świątyniach, i choć ich liczba przekroczyła już 100, to jednak jakże jest to mało, ażeby Jezus był zadowolony ze swoich czcicieli.

Znaczną rolę w szerzeniu czci Miłosierdzia Bożego spełnia nasza Gwardia Jezusa i Maryi, powstała „samorzutnie” przy parafii Świętego Jerzego w Elblągu z końcem lat siedemdziesiątych, jako konsekwencja kilkuletnich wytrwałych modlitw do Miłosierdzia Bożego, przy rozrastającym się stale Różańcu Parafialnym. Gwardia jest zgromadzeniem katolików świeckich, ludzi dobrej woli, inaczej rycerzy Jezusa i Maryi, dostępnym dla wszystkich, bez szczególnych reguł wiążących ślubami, podporządkowanym pod każdym względem jurysdykcjom Kościoła Katolickiego, a działającym przy parafiach z zadaniem szerzenia codziennej, ciągłej czci Miłosierdzia Bożego i Niepokalanego Serca Maryi. Jest to więc na stałe zorganizowany zespół modlitewny czcicieli Miłosierdzia Bożego i Niepokalanego Serca Maryi uzbrojony w różaniec Maryi i koronkę do Miłosierdzia Bożego.

Podstawową komórką organizacyjną i modlitewną jest Koło (Róża) Rycerskie, a na jego czele stoi przodownik (zelator). Koło liczy 15 członków — rycerzy. Wyższym członem organizacyjnym Gwardii jest Grupa Rycerska, na której czele stoi przewodnik (opiekun grupy), który przewodzi i opiekuje się grupą rycerską z ramienia przewodniczącego Gwardii. Grupa Rycerska składa się z pięciu Kół Rycerskich. Do najważniejszych obowiązków rycerzy Gwardii należy codzienne odmawianie jednej tajemnicy Różańca Żywego, w ustalonym łańcuchu (kalendariusz) tajemnic, i codzienne odmawianie co najmniej jednej dziesiątki koronki do Miłosierdzia Bożego oraz uczestniczenie w miarę możliwości w nabożeństwach do Miłosierdzia Bożego i Niepokalanego Serca Maryi i w innych wystąpieniach modlitewnych organizowanych przez Gwardię.*

* Zobacz: „Wskazania dla przewodników Kół i Grup Rycerskich Gwardii Jezusa i Maryi”, tam bliższe dane.

TULIPANY RÓWNIEŻ WIELBIĄ MIŁOSIERDZIE BOŻE

Nie pamiętam, w jakich okolicznościach poznałem się z proboszczem parafii w Chojniku, księdzem Henrykiem Kurachem, ale wiem, że było to spotkanie owocne i że był to kapłan miły Panu naszemu. Na moją prośbę, aby zezwolił mi na wygłoszenie w jego parafii homilii o Miłosierdziu Bożym, wyraził natychmiastową zgodę. Sam już wiele wiedział o objawieniu siostry Faustyny Kowalskiej i pragnął rozwinąć kult Miłosierdzia Bożego w swojej parafii. Na wygłoszenie homilii ustaliliśmy dzień 20 marca 1979 roku. W dniu tym miały zakończyć się rekolekcje wielkanocne w parafii i ja otrzymałem tak zwane „okienko” jednogodzinne na zapoznanie wiernych z objawieniem siostry Faustyny o Miłosierdziu Bożym. Obiecałem przywieźć dla parafii obraz Króla Miłosierdzia (niestety tylko oleodruk) i pomoce w postaci broszur, obrazów itp., traktujące o objawieniu i znaczeniu nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego.

W dniu ustalonym z księdzem, tuż przed wyjazdem z Elbląga, kupiłem wiązanek tulipanów z myślą, aby je umieścić pod obrazem Króla Miłosierdzia w świątyni, akcentując w ten sposób potrzebę Jego czci przez wiernych. Pokonując przestrzeń 50 km autem, prowadzonym przez mojego syna Tadeusza, zajechaliśmy pod plebanie parafii w Chojniku. Od gospodyni księdza dowiedzieliśmy się, że rekolekcje jeszcze trwają w kościele, a ksiądz proboszcz w odpowiednim czasie przyjdzie po mnie na plebanie. Obawiając się, by tulipany nie zwiędły, wstawiłem je do flakonu z wodą, jaki był na plebanii. Oczekiwanie nie trwało długo. Wkrótce przyszedł ksiądz proboszcz oświadczając, że rekolekcje są na ukończeniu i zbliża się moment mojego wystąpienia, wyciągnąłem więc kwiaty z flakonu i udaliśmy się razem do kościoła. Tu po zakończeniu rekolekcji ksiądz kanonik z Pasłęka poświęcił obraz i we trójkę z księdzem kanonikiem i księdzem proboszczem umieściliśmy obraz Króla Miłosierdzia na tabernakulum głównego ołtarza, a ja tam położyłem tulipany.

Wygłaszając homilię o Miłosierdziu Bożym, podkreślałem szczególne znaczenie, wynikające z objawienia siostry Faustyny, obrazu, koronki, nowenny i święta Miłosierdzia Bożego, podając równocześnie przykłady kilku niezwykłych wyda-

rzeń, jakie miały już miejsce w parafiach, gdzie cześć dla Miłosierdzia Bożego wyrażana jest w stałych nabożeństwach tygodniowych. Cytowałem słowa Pana Jezusa z „Dzienniczka” siostry Faustyny, zwracając uwagę słuchaczy na obietnice Jego wobec czcicieli Miłosierdzia Bożego. Ku swej radości widziałem skupione twarze wiernych, wsłuchujących się w słowa Jezusa, zwłaszcza gdy odczytywałem je wypowiedziane w siódmym dniu nowenny do Miłosierdzia Bożego: „Dziś sprowadź Mi dusze, które szczególnie czczą i wysławiają Moje Miłosierdzie, i zanurz je w Miłosierdziu Moim. Te dusze najwięcej bolały nad Moją Męką i najgłębiej wniknęły w Ducha Mojego. One są żywym odbiciem Mojego Litościwego Serca. Dusze te jaśnieć będą szczególną jasnością w życiu przyszłym. Żadna z nich nie dostanie się do ognia piekielnego. Każdej szczególnie bronić będę w jej śmierci godzinie”.

Po skończonej mszy świętej i po krótkim spotkaniu z kapłanami na plebanii powróciliśmy z Tadeuszem do Elbląga.

W dwa miesiące później, niespodziewanie, zagościł u mnie ksiądz proboszcz z Chojnika, Henryk Kurach, i od razu, na wstępie naszego spotkania powiedział: „Panie pułkowniku, ku memu wielkiemu zdumieniu, mimo że minęło już dwa miesiące, jak pan złożył wiązanek tulipanów pod obrazem Króla Miłosierdzia w mojej parafii — tulipany są ciągle świeże, jak w dniu poświęcenia obrazu i nie wiadomo, jak długo takie pozostaną. Co to ma oznaczać?” Nie mniej zdumiony od księdza proboszcza, świadomy, że tulipany szybko przekwitają, tym bardziej że przez dłuższy czas pozostawały nawet bez wody... odpowiedziałem: „Księżu proboszczu, sądzę, że w ten sposób Król Miłosierdzia dziękuje księdzu za tak uroczyste i serdeczne przyjęcie Jego obrazu w świątyni...” — „Tak — odpowiedział ksiądz Henryk — ja odbyłem z wiernymi od Wielkiego Piątku nowennę do Miłosierdzia Bożego, a przy konfesjonale przed świętem Miłosierdzia Bożego widziałem wielu takich moich parafian, którzy od dziesięciu lat nie byli u spowiedzi; miałem dwieście Komunii świętych, ja przedtem nigdy tyle Komunii w swojej parafii nie miałem!”...

W taki sposób również przejawia się Miłosierdzie Boże!

NAWRÓCENIE ATEISTY

Niedziela 18 listopada 1979 roku. Dzień smutny, pochmurny. Wieś Nowakowo, do której przywiózł mnie autem mój syn Tadeusz, rzecz można — tonie w błocie. Typowy krajobraz jesienny wsi na Żuławach Elbląskich. Jest kilkanaście minut przed godziną dziewiątą. Dzwonimy do drzwi plebanii. Otwiera je starsza pani, jak okazało się później, matka księdza proboszcza, od której dowiadujemy się, że ksiądz proboszcz jest już w kościele. Kościół drewniany, z małą wieżyczką, widać przerobiony z jakiegoś budynku gospodarczego, jest tuż w pobliżu plebanii. W części przeznaczony na zakrytą zastajemy księdza proboszcza Stanisława Białego. Ten o skromnym wyglądzie kapłan, którego poznałem już wcześniej w innych okolicznościach, znany z wielkich walorów duchowych, dobry kaznodzieja, wita nas radośnie. Właśnie poucza jeszcze raz gromadkę dziewcząt i chłopców, przygotowujących się do uroczystego wprowadzenia obrazu Króla Miłosierdzia na ołtarz świątyni. Jest wyraźnie przejęty tym, co ma nastąpić. Sam przecież układał wiersze powitalne na cześć Jezusa Miłosiernego, których nauczył dzieci, aby z chwilą wniesienia obrazu do świątyni powitały, widniejącego na nim z dłonią podniesioną do błogosławieństwa, Jezusa Chrystusa, jako Króla Miłosierdzia.

Tymczasem wierni zapełniają świątynię. Punktualnie o godzinie dziewiątej rozpoczyna się uroczystość. Chłopczyk i dziewczynka wnoszą obraz Króla Miłosierdzia do świątyni. Wdzięcznie brzmiące, pełne miłości do Pana Naszego wiersze, wygłaszane przez chłopców i dziewczęta, zapewne radują Pana Jezusa i całe Niebo. Ksiądz proboszcz poświęca obraz i stawia na ołtarzu pod figurą Matki Bożej. Ten wielce czcigodny kapłan wita Jezusa w Jego obrazie Króla Miłosierdzia, a czyni to w pokorze i uwielbieniu, prosi o łaski na teraz i na przyszłość dla swoich parafian. Było to tak bardzo podniosłe, że poruszyło serca przybyłych na mszę świętą wiernych.

W czasie mszy świętej, po Ewangelii, w ramach homilii miałem łaskę zapoznać wiernych ze wspaniałym objawieniem o Niezglębionym Miłosierdziu, przekazanym nam przez Pana Jezusa za pośrednictwem Sługi Bożej — siostry Faustyny

Kowalskiej. Napawa ono ufnością i zmusza do zastanowienia się nad sobą każdą duszę, uświadomioną o Nieskończonej Miłości Boga do ludzi.

Następna msza święta była odprawiona o godzinie dziesiątej, i w końcu odbyła się uroczysta suma o godzinie jedenastej. Czas pozwolił na to, że po tej mszy świętej zostało odprawione krótkie nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego.

Po skończonym nabożeństwie, gdy zbliżaliśmy się do zakrystii, nagle zastąpiła księdzu drogę jakaś kobieta, wyraźnie zemocjonowana i poruszona, coś gorąco i szybko mówiła do księdza, chwytając go za rękę, chciała całować, ale on nie pozwolił... Ja zatrzymałem się z daleka, nie wiedząc, o co chodzi.

Ksiądz proboszcz zaprosił mnie z Tadeuszem na obiad i tu dopiero wyjaśniło się zachowanie kobiety. „Mam w parafii siedemdziesięciokilkuletniego mężczyznę, niewierzącego — oświadczył ksiądz proboszcz — który co najmniej od 30 lat nie chodził do kościoła. Gdy do niego przychodziłem, aby go przywrócić wierze i Bogu, on wymądrzał się i po prostu zbywał mnie swoimi wywodami. Ale właśnie dzisiaj — a działo się to w czasie naszego nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego — on nagle zerwał się z krzesła i wołając: «Bóg jest», zażądał od córki, aby przyprowadziła mu natychmiast księdza. Prosił o spowiedź, gdyż Bóg jest. Powiedziałem jego córce, że przyjdę w środę, gdyż od środy rozpocznę stałe, cotygodniowe nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego. Ale czy ktoś przyjdzie na nie? Widzieliście panowie, ile było dzisiaj ludzi na mszach świętych. Proszę zobaczyć, jakie tutaj błoto, domy rozrzucone na dużej przestrzeni, wieś Batorowo oddalona parę kilometrów od kościoła. A jednak ludzie byli”...

Wracałem do domu rozradowany wewnątrz, wielbiąc Nieskończone Miłosierdzie Boże. Kiedykolwiek mam możliwość wygłaszania homilii czy prelekcji o Miłosierdziu Bożym, z radością podaję ten przykład cudownego nawrócenia ateisty swoim słuchaczom.

W jakiś czas później ksiądz Stanisław odwiedził mnie w Elblągu i powiedział: „Ów nawrócony ateista, zupełnie skruszony, oświadczył, że Miłosierdzie Boże jest, że on w momencie, o którym już była mowa, odczuł nagle takie głębokie przekonanie o istnieniu Boga, że zerwał się z krzesła i w gwałtowny sposób zażądał od córki przyprowadzenia kapłana, aby pojednał go z Bogiem. Gorliwie wyspowiadał się i przyjął Komunię świętą — nawrócił się do Boga. A odnośnie nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego — miałem w środę nawet więcej ludzi niż w niedzielę. Teraz różnie bywa, ale zawsze jest co najmniej kilka osób. Ja nabożeństwo odprawiam co tydzień, zmieniam tylko, zależnie od pory roku — godziny jego rozpoczęcia...”

STAŁO SIĘ ZA PRZYCZYNĄ MATKI MIŁOSIERDZIA...

Zawsze modłę się za moich najmilszych, ale dzisiaj modliłem się jeszcze bardziej gorąco aniżeli zwykle, wpatrzony w znajdujący się w moim domu obraz Króla Miłosierdzia. Modliłem się szczególnie za niewierzących i tych, którzy potrzebują umocnienia w wierze, a myślałem również o moich krewnych, przyjaciółach, i wielu nieszczęśliwych ludzi pragnąłem wesprzeć...

Najwięcej jednak skupiłem się, prosząc ze łzami w oczach, na jednej, najbardziej drogiej mi osobie, która od wielu lat, choć wierząca, nie była u spowiedzi.

Właśnie wczoraj skończyły się w naszej parafii rekolekcje wielkanocne i bolałem bardzo nad tym, że moja droga osoba nie brała w nich udziału. Modląc się żaliłem się przed Panem Jezusem z tego powodu, że tyle lat proszę Go o łaskę spowiedzi dla drogiej mi osoby...

Nagle przypomniały mi się słowa księdza rekolekcjonisty, który dał przykład uzdrowienia kobiety w Częstochowie na Jasnej Górze, która nie widząc skutków żarliwej swojej modlitwy do Miłosiernego Jezusa, pożałowała się Matce Bożej, że tak długo prosi Go, a On jej nie wysłuchuje, i dopiero wtedy została wysłuchana.

Zachęcony tym przykładem, i ja powiedziałem żaląc się Maryi: „Matko Najświętsza, od tak dawna proszę Pana Jezusa o łaskę spowiedzi dla tak bardzo drogiej mi osoby, a Pan mnie nie wysłuchuje, Matko Miłosierdzia, pomóż mi...!”

Ze wzruszeniem patrzyłem dzisiaj rano na tę drogą mi osobę...

Jaka była moja radość, gdy tego samego dnia odwiedziła nas nasza bardzo zacna sąsiadka i usłyszałem miły memu sercu dialog:

Sąsiadka: „Byłam w Warszawie u dzieci i nie byłam jeszcze u spowiedzi, trzeba będzie udać się do kościoła św. Mikołaja, bo u nas rekolekcje się skończyły, a tam najwięcej księży spowiada...”

* 30 marca 1984 roku

Droga mi osoba niespodziewanie odpowiada: „To ja pójdę z Tobą!” I jak później opowiedziała mi: „Biło mi bardzo serce, gdy stałam przed konfesjonalem w oczekiwaniu na spowiedź (a była, mówiąc, rozpromieniona i szczęśliwa). Kilka nocy z kolei śniło mi się, że się spowiadam...”

Tak więc Miłosierdzie Boże już działało wcześniej... Jezus wysłuchał prośby, ale chciał, jak jestem przekonany, aby był w tym tryumf także Jego ukochanej Matki. Chwała więc i dziękczynienie Jezusowi i Maryi, Ich Nieskończonemu Miłosierdziu i Najdoskonalszej Miłości do ludzi szczerze ufających!

BÓG MÓJ I PAN MÓJ

Dzień przed 25 listopada 1984 roku, który tak znacząco zapisał się w moim życiu animatora, czciciela Miłosierdzia Bożego, miał następujący przebieg. Wsiadam z autobusu we wsi Śilawy, położonej w zachodniej części województwa olsztyńskiego. Jest już ciemno, pytam przechodnia o kościół i plebanie. Wkrótce wita mnie bardzo serdecznie ksiądz proboszcz, Jan Suwała. Cieszę się gorącym powitaniem księdza Jana, który, jak się okazało, zna mnie jeszcze z Elbląga, gdzie przy parafii św. Jerzego ukończył Małe Seminarium. Wspominamy przezacnego świętej pamięci księdza kanonika Mieczysława Wojciuka, rektora tego seminarium.

Ksiądz proboszcz przedstawia mi jeszcze jednego swojego gościa. Jest nim pani Cecylia Kowalewska z parafii Jedwabno, wielka czcicielka Miłosierdzia Bożego, działająca na terenie swojej parafii. Cieszy się z mojego przyjazdu i pragnie, abym porozumiał się z jej proboszczem i wygłosił homilię o Miłosierdziu Bożym w kościele parafialnym w Jedwabnie. Pragnie bowiem, aby tamtejsi wierni upewnili się w tym, o czym ona już im mówiła — o wspaniałym objawieniu, danym nam przez Pana Jezusa za pośrednictwem naszej rodaczki, siostry Faustyny Kowalskiej. Oczywiście z radością przyrzekam, że wygłoszę homilię.

Nazajutrz, w dniu 25 listopada, w niedzielę, mam wygłosić homilię o Miłosierdziu Bożym na dwóch mszach świętych w świątyni parafialnej, a trzecią w kościele filialnym w Jedzbarku. Jestem szczęśliwy z tego powodu, bo i po każdej mszy świętej będzie czas na odprawienie krótkiego nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego.

Swoim, już utartym, zwyczajem przywiozłem w darze dla parafii dwa obrazy Króla Miłosierdzia (niestety tylko oleodruki), które odtąd będą adorowane przez wiernych w obydwu świątyniach parafii.

Niedziela 25 listopada 1984 roku. Po wygłoszeniu homilii na dwóch mszach świętych oraz odprawieniu krótkich nabożeństw ku czci Miłosierdzia Bożego w kościele parafialnym udaliśmy się autem z księdzem proboszczem i panią Cecylią Kowalewską do Jedzbarka. Pani Kowalewska oprócz udziału w modlitwach zaj-

mowała się rozprowadzeniem po nabożeństwach broszur i obrazów dotyczących objawienia siostry Faustyny. W Jedzbanku został niedawno wybudowany piękny kościółek w kształcie łodzi Piotrowej. Po mszy świętej, w czasie której również wygłosiłem homilię o Miłosierdziu Bożym — rozpoczęło się nabożeństwo ku czci Miłosierdzia Bożego. Trzeba zaznaczyć, jako pewnego rodzaju novum, że nabożeństwo to prowadzi kapłan, jako przewodnik, lecz biorą w nim także udział ludzie świeccy, jako lektorzy, którzy na przemian z kapłanem odmawiają odpowiednie modlitwy lub odczytują fragmenty z „Dzienniczka” siostry Faustyny.

Po wystawieniu przez kapłana Najświętszego Sakramentu, ja z kolei rozpocząłem odmawianie koronki do Miłosierdzia Bożego, którą sam Pan Jezus objawił siostrze Faustynie dla odpuszczenia grzechów ludzkości. Wypowiadam te przepiękne słowa modlitwy: „Ojcie Przedwieczny, ofiaruję Ci Ciało i Krew, Duszę i Bóstwo Najmilszego Syna Twojego, a Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, na przebłaganie za grzechy nasze i świata całego”, a przebierając palcami na małych paciorkach różańca, wymawiam: „Dla Jego Bolesnej Męki — miej miłosierdzie dla nas i świata całego” — które w drugiej części jeszcze nieśmiało powtarzają wierni...

Zaledwie kilka razy wypowiedziałem te pełne wyrazu słowa modlitwy pierwszej dziesiątki koronki, wpatrzony w Hostię świętą, gdy nagle, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, zobaczyłem, że zmieniła ona swój kolor, nie jest już biała, ale popielatoszara, i widzę, jak z Hostii świętej schodzą trzy miniaturowe postacie, niewyraźnie widoczne, ale ja wewnątrz jestem przekonany, że to jest Boża Rodzina... Na Hostii ustalają się trzy cyfry — 158. Chwilowo wydaje mi się, że trzecia cyfra wygląda na dziewiątkę, a nie na ósemkę, ale wpatrując się bliżej stwierdzam na pewno, że to jest jednak ósemka. Kończę odmawianie koronki. Ksiądz Jan odmawia teraz „Akt Ofiarowania się Bożemu Miłosierdziu”... Ja wpatrzony jestem ciągle w Hostię świętą i widzę to, co opisałem wyżej. Wiem, że jestem w pełni przytomny, że to, na co patrzę, nie jest żadnym przywidzeniem — przytomnie kończę koronkę, księdzu wskazuję tekst modlitwy i słyszę wyraźnie, jak ją odmawia, a ja po zakończeniu jej z kolei odmawiam trzykrotnie Akt Strzelisty: „Jezu, ufam Tobie”, który powtarzają wierni. Nabożeństwo kończy się adoracją Najświętszego Sakramentu, Jego Błogosławieństwem. Całe nabożeństwo trwało około 10 minut.

Kapłan ze względu na fakt, że tabernakulum jest jeszcze niesprawne, wyjętą z monstrancji Hostię świętą, daje do spożycia klęczącej w pobliżu mnie pani Cecylii Kowalewskiej. Mam nawet cichy żal do księdza, że mi nie dał połowy Hostii świętej. Ale tak musiało widocznie być, abym jeszcze raz zobaczył, że Hostia święta, którą ona przyjmowała, ma ten sam kolor, jaki ja widziałem w monstrancji w czasie nabożeństwa.

Po nabożeństwie, zanim wyszliśmy z kościoła, zdaje księdzu Janowi szczegółową relację z tego, co widziałem w Hostii świętej w czasie nabożeństwa. Dodałem mówiąc: „Że 58, to rozumiem, bo ksiądz zapowiedział na początku mszy świętej, że będzie to już 58. homilia, w 58. świątyni, jaką za chwilę wygłoszę,

ale co ma znaczyć jedynka umieszczona przed 58 — nie wiem?" Ksiądz Jan natychmiast, wskazując szybkim ruchem ręki na mnie, stanowczym głosem powiedział: „Bo pan ma jeszcze «zrobić» sto świątyń, a więc razem 158!” Znalazłem więc odpowiedź natychmiastową, tak wyraźną, że nie mogę mieć żadnej wątpliwości — kochany nasz Jezus żąda od nas rozszerzenia nabożeństw do Miłosierdzia Bożego, bo to, co dotąd uczyniliśmy, jest jeszcze za mało...

Ta natychmiastowa, bez wahania i odruchowo wypowiedziana, wyjaśniająca mi jednym zdaniem wszystko odpowiedź kapłana jest wyraźnym dowodem woli Bożej. Mógł bowiem ksiądz Jan, słysząc moją relację, różnie pomyśleć o mnie i o tym, co mu żywo opowiedziałem, ale zareagował spontanicznie tak, jak już podałem. Było to coś w rodzaju riposty wyjaśniającej moje wątpliwości.

Uwielbiam Pana za tę szczególną daną mi łaskę i staram się wypełniać Jego święte polecenie, mimo że napotykam nieraz pewne trudności...

„PODAJĘ LUDZIOM NACZYNIĘ...”*

„Podaję ludziom naczynie, z którym mają przychodzić po łaski do źródła Miłosierdzia. Tym naczyniem jest ten obraz z napisem: Jezu, ufam Tobie. Pragnę, aby ten obraz czczono w pierw w waszej kaplicy, a potem na całym świecie... Przez ten obraz udzielię wiele łask duszom...”

Pewnego dnia, w końcu 1991 roku, zadzwonił do drzwi wejściowych mego domu wysoki, postawny, w starszym już wieku, o szczerze rozradowanej twarzy mężczyzna i od progu woła: „Panie generale, czy pan mnie poznaje?” A gdy ja, zaskoczony, miałem niewyraźną minę, on dodał: „Siedzieliśmy razem w jednej celi w więzieniu Wronki...” Poruszony takim radosnym powitaniem współtowarzysza niedoli, wprowadziłem go do mego mieszkania, ten szybko rozwinął paczuszkę i ofiarował mi obraz Króla Miłosierdzia na tle celi więziennej, namalowany przez jego córkę, imieniem mało spotykanym u nas, Arleta. Przyjacielski gość, jak się okazało, mój imiennik, Bolesław Eiben, wyraźnie podniecony i uradowany objaśnia: „Panie generale, przecież my razem modliliśmy się żarliwie do Króla Miłosierdzia; ja siedziałem dwanaście lat i pan także wiele lat... i przetrwaliśmy razem dzięki Miłosierdziu Bożemu...”

Tak na nas, żołnierzach sponiewieranych przez okrutnych wrogów Polski, dopełniła się obietnica Pana Jezusa Miłosiernego: „Kto ufa Miłosierdziu Mojemu — nie zginie, bo wszystkie jego sprawy Moimi są, a nieprzyjaciele rozbijają się u stóp podnóżka Mojego”.

Obraz ten, piękny dar mojego przyjaciela z lat bardzo trudnych, dzieło jego córki plastyczki, jest wielką moją i mojej rodziny radością; jest darem, nad którym spoczywa błogosławieństwo dłoni Króla Miłosierdzia...

Obraz Króla Miłosierdzia jest jedynym obrazem Pana Jezusa, w którym wyraźnie i stanowczo pragnie On być szczególnie czczony i daje obietnicę: „...Przez ten obraz udzielię wiele łask duszom...” Wskazane jest więc oddawanie czci Miłosierdziu

* Dz. s. Faustyny

Bożemu w tym obrazie nie tylko w kościołach, ale także w mieszkaniach prywatnych. A już trudno jest sobie wyobrazić prawdziwego czciciela Miłosierdzia Bożego, w którego mieszkaniu nie znajdowałby się ten obraz i nie był czczony.

Jeszcze raz przychodzi mi na myśl opowiadanie księdza kanonika Mieczysława Wojciuka o jedynym kościele w Wilnie zniszczonym w czasie bombardowania, bo nie było w nim obrazu Miłosierdzia Bożego.

Odmawiając koronkę przed obrazem Króla Miłosierdzia, starajmy się równocześnie przy kolejnym wypowiedaniu słów: „Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”, wpatrywać weń, uwielbiając w ten sposób poszczególne części ciała Pana Jezusa uwidocznione na Jego wizerunku.

W godzinach szczególnej publicznej adoracji obrazu Króla Miłosierdzia (np. ku czci trzeciej godziny Męki Pana Jezusa), czy też z wewnętrznej potrzeby osobistej, można uwielbiać Miłosierdzie Boże w modlitwie już stosowanej w Gwardii Jezusa i Maryi przy parafii Świętego Jerzego w Elblągu.

MODLITWA ADORACYJNA:

Panie Jezu Chryste, wpatrzony w Twój obraz Króla Miłosierdzia, jak to nam objawiłeś za pośrednictwem błogosławionej siostry Faustyny — pragnę gorąco uwielbiać Ciebie w Nim, tak jak moje ludzkie, pełne pokory myśli i serce mi dyktują. Racz wysłuchać mnie, mój Zbawicielu.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego (znak Krzyża).

„Ojcie Przedwieczny, ofiaruję Ci Ciało i Krew, Duszę i Bóstwo Najmilszego Syna Twojego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa, na przebłaganie za grzechy nasze i świata całego”.

1. *Uwielbiam Cię wpięrow w Twoim Obliczu, mój Jezu, które jest tak bardzo smutne, a my pragniemy przyczynić się do tego, abyś nie musiał tak się smucić. Racz więc uczynić nas Twoimi sługami i rycerzami, przydatnymi Ci, wiernymi i zwycięskimi. Daj nam moc ku temu.*

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

2. *Uwielbiam cię, Panie Jezu, w Twoim okaleczonym prawym Ramieniu i w Twej prawej Dłoni w boleści przebitej. Racz nam przebaczyć grzechy nasze i błogosławić nam tym Twoim Ramieniem wzniesionym miłościwie ku nam, i przytulić do Serca Twojego.*

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

3. *Uwielbiam Cię, Panie Jezu, w Twej lewej Dłoni także strasznie okaleczonej, którą wskazujesz nam źródło Twoich łask, Twój Bok i Serce przebite — i wołam pełen pokory i czci: „O Krwi i wodzie, któraś wytrysnęła z Serca Jezusowego jako źródło miłosierdzia dla nas, ufamy Tobie!”*

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

4. Uwielbiam Cię, mój Jezu, w Twoich Stopach tak boleśnie okaleczonych, którymi stąpasz po ziemi i przypominasz nam, że jesteś naszym Ojcem, Tatuśkiem umiłowanym i prowadzisz nas przez to życie ku chwale Boga i dla naszego dobra, i doprowadzisz przez szczęśliwą śmierć do wieczności świętej.

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

5. Uwielbiam Cię, Panie Jezu, w Twoich Szatach, których biel mówi nam o Twojej Przczystości i Samarytanizmie i przypomina nam, że mamy być zawsze czysti na duszy i ciele wobec Pana naszego, Matki naszej Maryji, wobec naszych bliźnich i samych siebie.

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

6. Uwielbiam Cię, Panie Jezu, w Twoich Słowach Świętych: „Jezu, ufam Tobie!” — tak nam bliskich i kochanych.

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

7. Uwielbiam Cię, Panie Jezu, w koronce do Miłosierdzia Bożego, którą dałeś nam na odkupienie naszych grzechów.

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

8. Uwielbiam Cię, Panie Jezu, w litanii do Miłosierdzia Bożego, w której pozwalasz nam adorować Cię w ufności do Ciebie.

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

9. Uwielbiam Cię, Panie Jezu, w Nowennie do Miłosierdzia Bożego, w której pozwalasz się szczególnie czcić, prowadząc nas do Święta Miłosierdzia Bożego, obdarowując darami Twoimi.

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

10. Uwielbiam Cię, Panie Jezu, w Święcie Miłosierdzia Bożego, w którym nakazałeś nam czcić Cię i uwielbiać szczególnie uroczyście i odpuszczasz nam skruszonym winy i kary.

„Dla Jego bolesnej Męki miej miłosierdzie dla nas i świata całego”.

Dziękujemy Ci, nasz ukochany Jezu, Królu Miłosierdzia Bożego, za dar Tej modlitwy!

„Święty Boże, Święty Mocny, Święty, Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami i nad całym światem”. (Odmówić trzy razy.)

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. *

* Opracował do prywatnego odmawiania — autor.

MYŚLI DOJRZAŁE

Jeśli nie znasz Boga, to poznasz Go najlepiej i najprędzej w cierpieniu, w troskach dnia codziennego... Zechciej tylko wtedy spojrzeć w Niebo; wspomnij na Mękę Jezusa, na Jego niewinną Ofiarę cierpienia i śmierci, westchnij, serdecznie powiedz: Co znaczy moje cierpienie wobec Twojej strasznej Męki... Ale znając moją nędzę, Panie, wspomnij na mnie miłosiernie, bo jestem mały i bezbronny, i ześlij na mnie jedną kroplę Twojej Świętej Krwi i naucz mnie kochać Ciebie... Wzbudź we mnie energię, ochotę do walki z samym sobą, z moim skłonny do grzechu „ja”, uzbroj w potęgę ducha, co zawsze ufa Bogu, wierzy i miłuje Ciebie, Boże, i wszystko, co mnie otacza...

I odtąd rozróżniać będziesz łatwo dobro od zła, prawdę od zakłamania, i pod natchnieniem tworzyć będziesz nie tylko dzieła ludzkiej potrzeby, ale wyśpiewywać będziesz pieśni, wyzwalać z własnej duszy modlitwy korne a odważne w miłowaniu Boga, Jego dzieła, Jego wielkości, Jego Miłości... Może Twoje czyny nie będą wielkie, ale na pewno nabrzmiały ułaskawieniem i miłością, uwielbieniem wyzwolonym z twojej duszy oświeconej jasnością niezwykłą, świętym darem pragnienia wszystkiego co dobre, szlachetne, twórcze ku chwale Boga, dobra Ojczyzny i godnemu użytkowi całej ludzkości.

Bo widzisz, i ja, choć zapoznany od dziecka z niezwykłą łaską od Boga, wyproszoną przez moją rodzicielkę, gdy zagrożona utratą swego dziecka szukała pomocy u Matki Jezusa — starałem się iść drogą wiary, ale naprawdę dojrzałem w rozeznawaniu Drog Miłości Bożej dopiero w cierpieniu.

Właśnie u szczytu udręki i nowego zagrożenia utraty życia zrodziła się w sercu moim modlitwa, pieśń znękanego duszy — i ciekawe, nie wołająca o ratunek, a pełna uwielbienia dla Tej, która jest naszą zawsze pełną miłości Orędowniczką, Królową Nieba i Ziemi, Królową naszego narodu tak często doświadczanego.

Proszę, nie szukaj w tej modlitwie sprawnych rymów i rytmów, ale odszukaj w niej pokorę duszy uwielbiającej w zachwycie Marię, Matkę Boga...

*Matko, dla Ciebie pragnę tworzyć pełen uwielbienia,
Dla Ciebie, Najświętsza, i Twego Świętego Imienia.
Ciebie pragnę wystawiać, Maryjo, Przenajczystsza Dziewico,
Wybranko Boga, Świętego Ducha Oblubienico,
Ciebie, Jasnogórska Królowo z polskiej Częstochowy,
Beczenny i najwspanialszy nasz Skarbie Narodowy.
Tobie pragnę wyśpiewać najpiękniejszą pieśń pod słońcem,
Prześliczna Pani z Fatimy, Królowo z Różańcem,
Tobie z Lourdes, „Jam Niepokalana”, stynącej cudami,
Tobie najczulszej w La Salette, płaczącej nad nami,
Tobie, Matce i Królowej świata tego,
Przemóżnej naszej Orędownicze do Syna Swego.
O Królowo! Twoim pragnę być sługą i rycerzem,
Czci i chwały Twojej heroldem i wielkim szermierzem.
Przez Ciebie uwielbiam Pana Naszego,
Boga w Trójcy Świętej Jedynego,
Pełnego Łask Miłości, Miłosierdzia i Dobroci,
Ukochanego Ojca, Tatuśka zbolełej ludzkości.*

A gdy serce moje drżało i płakało, widząc codziennie udzięki, męczeństwo i śmierć najlepszych Polaków — wypłynęła z niego jeszcze jedna modlitwa:

*Królowo Polski, lud Twój Ci się kłania,
Wesprzyj u Pana nasze wołania...
Królowo Polski, Hetmanko Nasza,
Łaski Bożej Twój lud się doprasza,
Padnij z nami przed Nim na kolana,
Zjednaj nam łaski u Ojca, Pana.
Królowo Polski, lud Twój Ci się kłania,
Wesprzyj u Pana nasze wołania...
Królowo Polski, Mario Przenajczystsza,
Lud Twój cierpi lat blisko trzysta,
W Tobie Chwała w Panu wiekuista,
Mario, przepędź zło i antychrysta. **

* Więzienie UB — lata 1949–1956, Kraków, Sztum, Wronki.

POSŁOWIE

„Drogi miłości Bożej” generała brygady Bolesława Michała Nieczuja-Ostrowskiego jest to książka wyjątkowa pod wieloma względami. Niezwykły jest powód jej napisania. Wyłożył go dobitnie Szanowny Autor we wstępie. Nie jest też sprawą przypadku tytuł tej publikacji. Wartość szczególna pracy wynika również z przedstawionych Czytelnikowi przykładów ingerencji Bożej, które przybliżają rozumienie historii ludzkiej i pogłębiają siłę wiary.

Autor w swych religijnych refleksjach nie jest jednak ani bezkrytyczny, ani odrealniony. Wprost przeciwnie, bogactwem dostarczonych ze swego życia przykładów, głębokością spostrzeżeń na temat łask Bożych, dobrych uczynków, miłosierdzia, pokory, zasług, zbawienia itp., a także wewnętrznym spójnym piarstwem, zdecydowanie sprawia, że szkice niniejsze nabierają wyraźnie charakteru religijno-filozoficznego, a nie religijno-gawędziarskiego.

Odbiorca tego typu twórczości nader rzadko spotyka się dziś z takim stosunkiem do Boga, Ojczyzny i bliźnich, który jest dokumentowany bezgranicznym uwielbieniem, oddaniem i bezinteresownością. Jest to zapewne fundament chrześcijańskiego życia i źródło jego owocności.

Być może niektóre wyrażone z entuzjazmem opinie nie znajdą zwolenników, lecz przecież Szanowny Autor bierze je na własną odpowiedzialność, pozostawiając Kościołowi i Czytelnikowi prawo do dalszego zgłębiania przedstawionych przez siebie spraw i ich oceny.

Szkice niniejsze dokumentują te strony ludzkiej egzystencji oraz historycznych zdarzeń, związanych z życiem i drogą autora, które — zdaniem piszącego te słowa — przybliżają wyraźnie do istoty przymierza rodzaju ludzkiego z Bogiem. Napisał je człowiek, który od najmłodszych lat aż do dzisiaj kształtował swe ludzkie oblicze w głębokiej wierze w Boga i w zgodzie z nią postawę bezgranicznego oddania sprawom Ojczyzny i bliźnich.

W bogatym życiorysie Szanownego Autora odzwierciedlają się w charakterystyczny sposób dzieje całego narodu polskiego doby ostatniej oraz losy indywi-

dualne Polaka, chrześcijanina, żołnierza, obywatela, męża, ojca, przyjaciela i przewodnika duchowego. Jego życie rozpoczęło się jeszcze pod zaborem austriackim w Galicji i uformowało w szkołach i wojsku polskim w II Rzeczypospolitej, okrzepło na wojnie polsko-niemieckiej w 1939 roku i w pracy podziemnej, wzbogaciło o cierpienia na salach sądowych i w celach więziennych, w pełni objawiło podczas zagospodarowywania Ziemi Odzyskanych i w pracy organicznej dla dobra Ojczyzny, współobywateli oraz Kościoła.

Z życiorysu generała i ze stron niniejszej książki można bardzo jasno wysnuć wnioski, że jego życie toczy się w wyraźnej perspektywie pionowej (w stałym życiu z Bogiem) i perspektywie poziomej (ze zbiorowością narodową, środowiskiem żołnierskim i partyzanckim oraz obywatelskim, z rodziną). Można mieć również pewność, że perspektywy te nie wykluczają się nigdy, lecz wzajemnie dopełniają. Obcowanie z Bogiem jest codzienną treścią jego życia, ujawnia się w postawie religijnej, dobrych uczynkach i życzliwości względem innych. Karmiąc się chlebem życia, żyje on pełnią chrześcijaństwa.

Na kartach książki w porządku chronologicznym ożywa świat, w którym celem i wzorem jest Bóg, człowiek zaś dąży do doskonałości, której kresem jest Odkupiciel. Ruchem ku Bogu jest wędrowanie, uporczywe i pełne niespodziewanych wydarzeń. Dlatego Szanowny Autor ciągle zwraca uwagę na to, czy wędruje po właściwej drodze, oraz stara się odczytywać dane mu znaki czasu i nadśłuchiwać wołania Boga.

Szkiełki niniejsze w każdym z nas wzbudzą zapewne chęć rozszerzenia wiedzy o sprawach opisywanych przez autora, na pewno rozwijają wyobraźnię i zaostwiają ciekawość. Opracował je przecież wyższy oficer Wojska Polskiego, którego losy i przemyślenia skłonni bylibyśmy, zgodnie z upowszechnionym stereotypem, potraktować jako doświadczenia kogoś zupełnie odmiennego i nie przystającego do obrazu religijnego intelektualisty.

Obok licznych wypowiedzi poświęconych samoocenie, rozterkom i niepokojom wewnętrznym podczas wędrowki autora ku Bogu, znajdują się w książce zapisy o wydarzeniach politycznych i militarnych, o pracy pokojowej i konspiracyjnej, o totalitaryzmie i patriotyzmie, o rodzinie i przyjaciółach, o charakterach i postawach różnych osób i postaci.

Dla bliskich jest tkliwy aż do przesady. Podobnie czuлыми uczuciami obdarza miejsca kultu Matki Boskiej i Chrystusa Miłosiernego (Leżajsk, Częstochowa, Elbląg, Łagiewniki itp.) oraz miejsca obecności najbliższych sobie istot. Wszystko to sprawia, że książka staje się interesującym przyczynkiem do biografii generała. Wnosi ona bardzo dużo nowego do wiedzy o osobowości, charakterze, działalności i dramatach tego wybitnego i skrzywdzonego okrutnie w przeszłości oficera Wojska Polskiego, który swym życiem i działalnością dobrze i mądrze wypełnił kolejną złotą kartę naszych narodowych dziejów.

Zasadniczy zrąb książki stanowią wojenne i okupacyjne losy autora, na trasie walk odwrotowych września 1939 roku i w pracy podziemnej we Lwowie i Kra-

kowie. Dopełniają je powojenne losy więzienne i praca na Pomorzu i w Elblągu. Są one osnową wartościowych rozważań i niecodziennych refleksji, świadczących o wysokim wyrobieniu obywatelskim i żołnierskim autora. Czasami owe dramatyczne karty nabierają jeszcze większego napięcia. Wtedy jednak towarzyszy autorowi łaska Opatrzności, która pozwala mu zachować życie i zdrowie, wiare i żarliwość, myśl i nadzieję.

Pisząc życiorys, trzymamy się dat, epizodów i wydarzeń ściśle zlokalizowanych w czasie i przestrzeni. Opisując jednak życie takiego człowieka jak generał Bolesław Michał Nieczuja-Ostrowski, tworzymy całość, interpretując i porządkując ją z perspektywicznego punktu widzenia. Całość ta pozwala pozytywnie ocenić życie i dokonania tego polskiego generała.

Generał brygady Bolesław Michał Nieczuja-Ostrowski urodził się 29 września 1907 roku w Haliczu jako syn Michała i Anieli z domu Frank. Pochodził z rodziny, w której żywe były tradycje walk o niepodległość. Po ukończeniu Gimnazjum Humanistycznego w Przeworsku wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, gdzie uzyskał stopień podporucznika ze starszeństwem od 15 sierpnia 1931 roku. Od roku 1932 do 1936 był kolejno dowódcą plutonu i dowódcą kompanii 5 Pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu oraz wykładowcą Dywizyjnego Kursu Podchorążych 22 Dywizji Piechoty Górskiej. W latach 1936–1937 był wykładowcą w Batalionie Szkolnym Podchorążych Rezerwy w Zambrowie, a w roku szkolnym 1937/1938 i 1939 w Ośrodku Wyszkozenia Rezerwy Piechoty w Różanie nad Narwią. Jako porucznik ukończył kapitański kurs dowódców, a następnie kurs przeciwpancerny w Rembertowie. W 1939 roku został przedstawiony do awansu na stopień kapitana.

W kampanii wrześniowej 1939 roku uczestniczył w walkach obronnych od Różan do Biłgoraja jako dowódca 5 Kompanii II Batalionu 115 Pułku Piechoty, a następnie 2 Kompanii I Batalionu 116 Pułku Piechoty 41 Rezerwowej Dywizji Piechoty Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Wyszków”. Za zwycięski bój pod Malinówką został odznaczony Krzyżem Walecznych po raz pierwszy. Następnego dnia po kapitulacji 41 Rezerwowej Dywizji Piechoty zbiegł z kolumny marszowej jeńców i przedostał się do Lwowa.

Poczuwając się do obowiązku dalszej walki z najeźdźcą, zorganizował we wrześniu 1939 roku Polską Organizację Wojskową (POW) „Lwów” w sile 11 kompanii konspiracyjnych wojska, wyznaczył dowódców, określił zadania i pozyskał pewną ilość broni. Z początkiem 1940 roku nawiązał kontakt z płk. Janem M. Sokołowskim ps. „Trzaska”, komendantem okręgu Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) „Lwów”. Przekazał do ZWZ zorganizowane kompanie POW i został mianowany pierwszym komendantem miasta Lwowa.

Ścigany przez sowieckie organy bezpieczeństwa, opuścił Lwów i w kwietniu 1940 roku przedostał się do Generalnego Gubernatorstwa. Po krótkim pobycie w rodzinnych stronach (Przeworsk) przybył do Krakowa. Działal w tym czasie pod pseudonimami „Grzmot” i „Bolko”. W maju 1941 roku objął obowiązki

oficera broni w sztabie Okręgu Krakowskiego ZWZ. Tegoż roku awansował do stopnia kapitana.

Od sierpnia 1942 roku przystąpił do organizowania i stanął na czele Szefostwa Produkcji Konspiracyjnej Broni kryptonim „Ubezpieczalnia” Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej. W zorganizowanych wytwórniach uruchomił na szeroką skalę produkcję granatów i stenów oraz innych środków walki. W 1943 roku awansował do stopnia majora i został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Od września 1943 do stycznia 1945 roku pełnił funkcję inspektora Inspektoratu Rejonowego AK kryptonim „Maria” obejmującego obwody: Miechów, Olkusz i Pińczów. Równocześnie od lipca 1944 roku do końca okupacji był dowódcą 106 Dywizji Piechoty kryptonim „Dom” Armii Krajowej. Nosił wówczas pseudonimy „Bolko” i „Tysiąc”. Na zarządzanym przez siebie terenie scalił i zintegrował wszystkie organizacje niepodległościowe, osiągając w połowie 1944 roku stan dwudziestu tysięcy żołnierzy. Zorganizował i doprowadził do stanu gotowości bojowej dwie wielkie jednostki: 106 Dywizję Piechoty i Krakowską Brygadę Kawalerii Zmotoryzowanej. Dowodził podległymi sobie oddziałami zarówno podczas walk o utworzenie w ostatniej dekadzie lipca 1944 roku, jak i o utrzymanie do 10 sierpnia „Kazimiersko-Proszowickiej Rzeczypospolitej Partyzanckiej” — terenu o powierzchni 1000 km², położonego na bliskim zapleczu frontu i całkowicie uwolnionego od władzy okupacyjnej, wpływając na przebieg działań wojennych na przyczółku sandomiersko-baranowskim. Pod bezpośrednim kierownictwem komendanta Okręgu Krakowskiego AK, dowódcy Grupy Operacyjnej „Kraków”, płka Edwarda Godlewskiego pseudonim „Garda”, przygotowywał jednostki bojowe Inspektoratu Rejonowego „Maria” do uderzenia na Kraków.

W okresie pełnienia funkcji inspektora i dowódcy 106 Dywizji Piechoty Armii Krajowej Inspektoratu Rejonowego „Maria”, podległe mu oddziały dywersyjne, dywersyjno-partyzanckie, partyzanckie i dyspozycyjne przeprowadziły około dwustu znaczących akcji zbrojnych i około pięciuset akcji mniejszych oraz przywróciły wśród społeczeństwa poczucie bezpieczeństwa i zaufania do krajowych sił zbrojnych. Było to możliwe dzięki wartościom moralnym i obywatelskim, zaszczerpionym przez inspektora-dowódcę swoim podwładnym.

Jako oficer broni, szef „Ubezpieczalni” i inspektor Inspektoratu Rejonowego „Maria” wykazał się wybitnymi walorami osobowości i znakomitym przygotowaniem fachowym. Za dowodzenie dywizją został odznaczony Orderem Virtuti Militari V Klasy. Osiągnięcia w pracy organizacyjnej i umiejętności dowódcze oraz dobre ułożenie stosunków z powiatowymi delegatami rządu i czynnikami politycznymi Państwa Podziemnego były bardzo wysoko oceniane przez komendantów Okręgu Krakowskiego płka Józefa Spychalskiego ps. „Luty”, płka Edwarda Godlewskiego ps. „Garda”, płka Przemysława Nakoniecznikoffa-Klukowskiego ps. „Kruk” oraz inspektorów Komendy Głównej AK płka Józefa Rokickiego ps. „Karol” i gen. bryg. Stanisława Rostworowskiego. Awans na podpułkownika otrzymał ze starszeństwem od 11 listopada 1944 roku.

W styczniu 1945 roku odmówił podporządkowania 106 Dywizji Piechoty Armii Krajowej Inspektoratu Rejonowego „Maria” komunistycznemu Rządowi Tymczasowemu w Lublinie, pozostając do końca wierny rządowi w Londynie.

W sytuacji społeczno-politycznej 1945 roku z grupą byłych żołnierzy i partyzantów postanowił wyjechać w rejon Elbląga, gdzie przystąpił do realizacji swoich marzeń spółdzielczych. Jesienią tegoż roku, jako przywódca kolonistów, utworzył w Pogroździu spółdzielnię gospodarczo-społeczną i został jej prezesem. Trzeba dodać, że pracę nad statutem wzorcowym swojej spółdzielni rozpoczął jeszcze w czasach okupacji, konsultując go z wybitnymi działaczami politycznymi i wojskowymi podziemia krakowskiego, jak: Stefan Miłkowski, Stefan Sikorski, Józef Spychalski i Mieczysław Kabat.

Niedawni podkomendni rozpoczęli gospodarowanie — każdy na 15 hektarach ziemi, a spółdzielnia zorganizowała wzorowo skup i zaopatrzenie. Doskonale prowadzona spółdzielnia rozwijała się i rósł jej stan posiadania. Z inicjatywy prezesa powstał dział rybacki, przystań żaglowa, domki wypoczynkowe w Suchaczku, sklepy spółdzielcze w Elblągu, Tolkmicku i Pogroździu, wspólna stołówka i teatr amatorski.

Mimo ujawnienia swojej działalności „Tysiąc” był trzykrotnie aresztowany. Ostatni raz 29 lipca 1949 roku. Przewieziony został wówczas do Warszawy, a potem do Krakowa, gdzie doświadczył długiego i brutalnego śledztwa. Na podstawie spreparowanych przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zarzutów, został dwukrotnie skazany na karę śmierci: za zdradę Ojczyzny i współpracę z Niemcami. Akt oskarżenia, zaklamany od początku do końca, otrzymał dopiero po pięciu latach.

Po odsiedzeniu 270 dni w celi śmierci został przez Sąd Najwyższy ulaskawiony i wyrok śmierci został mu zamieniony na dożywotnie więzienie. Po siedmiu latach i trzech miesiącach wyszedł na wolność. Po październikowej odwilży, gdy fałsz oskarżeń okazał się ewidentny, wrócił z więzienia do rodziny mieszkającej w Elblągu i wówczas, gdy inni zwolnieni z więzień myśleli o odszkodowaniach i rehabilitacjach, zaczął organizować na prośbę elbląskich rolników-ogrodników spółdzielnię ogrodniczo-pszczelarską, której został prezesem. Mimo oczywistych osiągnięć społeczno-ekonomicznych, w trzecim roku prezesowania został zmuszony wskutek nacisków służby bezpieczeństwa, upatrującej w nim reakcjoniste i osobę niebezpieczną dla PRL, do złożenia rezygnacji z tej funkcji.

Nie mając pracy i środków do życia, usiłował prowadzić hodowlę drobiu, lecz bez większych rezultatów. Po pewnym czasie dzięki dawnemu podkomendnemu, kapelanowi dywizji księdzu dr. Wacławowi Radoszowi „Chętnemu”, otrzymał pracę stałą w Wojewódzkim Oddziale PAX w Gdańsku na stanowisku szefa kolportażu. Od 1975 do 1990 roku pracował w Wojewódzkim Oddziale PAX w Elblągu. Na stanowisku szefa kolportażu pozostawał przez 13 lat, a następnie po przejściu na emeryturę pracował jeszcze na pół etetu.

Był jednym z założycieli Klubu Inteligencji Katolickiej w Elblągu. Za umacnianie polskości ziemi elbląskiej otrzymał nagrodę im. księdza dr. Bolesława

Domańskiego. Od października 1956 roku integrował wokół siebie środowisko byłych żołnierzy i partyzantów oraz rodziny i sympatyków Inspektoratu Rejonowego AK „Maria”, pracując na rzecz pogłębienia wśród swoich podkomendnych i ich rodzin wartości ucieleśnionych w idei Armii Krajowej.

Pod jego moralnym kierunkiem powołano w 1989 roku Stowarzyszenie Żołnierzy, Partyzantów i Sympatyków Inspektoratu Rejonowego AK „Maria” i doprowadzono do scalenia w ramach Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej (obecnie Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej). Na zjeździe ogólnopolskim ŚZZAK w 1990 roku został wybrany do Rady Naczelnej, natomiast na I Zjeździe Okregu Małopolska w tym samym roku — przewodniczącym Rady Okręgowej ŚZZAK. II i III Zjazd podtrzymały jego wybór do Rady Naczelnej ŚZZAK. Należy nadmienić, że II Zjazd ŚZZAK podjął uchwałę uhonorowania go stopniem generała brygady dla zadośćuczynienia krzywd wyrządzonych przez totalitarne państwo jemu osobiście i całej społeczności żołnierskiej i partyzanckiej Inspektoratu Rejonowego AK „Maria”. 11 listopada 1991 roku z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Lecha Wałęsy, otrzymał w Belwederze stopień generała brygady.

Wiele czasu przeznaczal i przeznaczal na rozwijanie wartości religijnych i moralnych przez udział w Zgromadzeniach Ludzi Dobrej Woli ku Czci Miłosierdzia Bożego i Niepokalanego Poczęcia, w szczególności przy parafii św. Jerzego w Elblągu. W środowisku tym, podobnie jak i w środowisku dawnych żołnierzy i partyzantów, cieszy się ogromnym szacunkiem i zaufaniem. Założył Gwardię Jezusa i Maryi.

Generał Bolesław Michał Nieczuja-Ostrowski jest odznaczony Orderem Virtuti Militari V Klasy, Krzyżem Walecznych — trzykrotnie, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Partyzanckim, Medalem Wojska — czterokrotnie, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Orderem Virtuti Civili II Klasy.

31 października 1992 roku został Honorowym Obywatel Miasta Elbląga. 15 lutego 1993 roku otrzymał Honorowe Obywatelstwo Miasta Miechowa nadane mu przez Radę Miasta i Gminy, 21 lutego zaś Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski nadany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. 16 maja 1993 roku został uhonorowany wysokim odznaczeniem papieskim „Pro Ecclesia et Pontifice” nadanym przez Kościół Rzymskokatolicki.

Koło doświadczeń autora ma duży obwód — określa go zarówno wielkość szczegółów ciekawego i dramatycznego życia, jak i potężna siła wiary, szczerść uczuć, stałość kontemplacji, życie czynne i obecność w Eucharystii. W tym właśnie tkwi istota szczególnej wartości książki, która daje szereg praktycznych wskazówek, jak należy pogłębiać duchowość, bez której niemożliwa jest pełna integracja człowieka i jego przymierze z Bogiem, i prowadzić na co dzień życie w wędrowaniu ku Bogu. Po przeczytaniu tej książki nabiera się przekonania, że autor jest człowiekiem, którego ani lata wojny i okupacji, ani więzienia i totalitaryzm stosunków w Polsce nie uczyniły pesymistą. Źródeł tego należy szukać w intensywnym życiu wewnę-

trznym, czego pewnym świadectwem może być również napisana książka. Dla zawodowych teologów najbardziej ważne może okazać się żywe doświadczenie wiary wzbogacone o wymiar mistyczny właściwy autorowi. W sumie książka jest fascynująca i niezmiernie pouczająca lekturą. Pojęcia i zwroty, którymi posługuje się autor, pozostają w zgodzie z teologią. Sprawy podjęte nie wymagają specjalnego przygotowania do ich zrozumienia, a jednak związane są z przejściem przez próg wewnętrznego oczyszczenia, co jest gwarancją ich prawdziwego odczytania.

Ktoś kiedyś zauważył, że nie drażni taki przykład, w którym czuje się prawdę, życzliwość i pokorę, który moralnie nie zniewala. Po przeczytaniu maszynopisu książki „Drogi miłości Bożej” były żołnierz AK, inżynier, organizator i wieloletni menedżer, Józef Żelaśkiewicz („Orlik”), napisał: „Ufam logice i realiom, ale jednak Twoje wspomnienia, kochany Generale, fakty, komentarze i zwierzenia świadczą o niepojętym wpływie siły Nieziemskiej i Opiece Cudownej, wywołują dreszcz wzruszenia(...) A że zadziwiają, że wznoszą nasze serca i umysły do Najwyższego, że błyszczą po prostu jak brylanty w kolii ze złotych gwiazd na firmamencie stworzenia — to tym większy powód, aby zastanowić się nad swoim życiem, by przyklęknąć w ciszy i oddać hołd w Trójcy Świętej Jedynemu(...)”

Ksiądz prałat Jan Halberda, proboszcz parafii Świętego Jerzego w Elblągu, w niezwykle precyzyjny i serdeczny sposób ocenił religijno-filozoficzny dorobek Szanownego Autora: „Przy lekturze tej pracy wielokrotnie wzruszałem się głębokością Pańskich przemyśleń i trafnych spostrzeżeń, które mogą wypluwać tylko z głębokiej wiary w Boga i ogromnej miłości do Ojczyzny. Znając Pana osobiście już od dwunastu lat, wierzę, że treść książki jest autentycznym owocem Pańskiego życia, które było pełne cierpienia, a zarazem stało się świadectwem postawy prawdziwego Polaka i katolika”.

Każdy, kto choć trochę odczuwa obecność Opatrzności w swoim życiu i w życiu świata, kto choć trochę zechce zrozumieć drogę człowieka ku Bogu, dzięki lekturze tej książki będzie miał niecodzienną okazję do pomyślenia o swoim życiu i do doskonalenia się.

Trzeba dodać, że niebagatelną rolę w powstaniu tej książki odegrał ksiądz infułat dr Mieczysław Józefczyk z Elbląga, który swoją zachętą i prowadzonymi z autorem dyskusjami spowodował opisanie przezeń swoich losów. Po przeczytaniu książki wydał o niej opinię: „Jest to wspaniała opowieść o wspaniałym życiu. Nie będę mnożył superlatywów, bo to niepotrzebne(...)”

Szczerą i emocjonalną ocenę książki dał były żołnierz AK, doktor medycyny, Zbigniew Michta („Skaut”), którą przytaczamy:

Do rąk Czytelników trafia zbiór szkiców bogato i wnikliwie ilustrowanych materiałem faktograficznym, autorstwa generała brygady Bolesława Nieczuja-Ostrowskiego pseudonim „Tysiąc”, „Bołko” — inspektora Inspektoratu Rejonowego „Maria” i dowódcy 106 Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Wydana w 1991 roku książka pt.: „Rzeczpospolita Partyzancka”, tegoż autora, poświęcona jest walkom powstańczym w dorzeczu dolnej Nidy, Nidzicy, Pilicy, Szreniawy

i Dłubni, które doprowadziły do utworzenia „Kazimiersko-Proszowickiej Rzeczypospolitej Partyzanckiej”, a potem do sławnej i bohaterskiej jej obrony.

Jakże inny charakter nosi zbiór szkiców obecnie prezentowany Czytelnikowi. Tyczy on w głównej mierze aspektów etyczno-moralnych, jakie towarzyszyły autorowi w jego dramatycznym, choć pięknym życiu żołnierza, partyzanta i dowódcy. Syntetycznie ujmując, jest to publiczne wyznanie wiary, świadectwo miłości, jaką obdarzał autor swoich najbliższych, zwłaszcza wielką rzeszę ponad dwudziestu tysięcy podległych mu żołnierzy i partyzantów, których los wziął w swoje ręce, prowadził ich przez najtrudniejszy okres w najnowszej historii naszego narodu, jest wreszcie zbiór ten świadectwem historycznej prawdy, którą uczynił autor główną dewizą swojego życia. Zbiór tych cnót rycerskich — w najpiękniejszym tego określenia znaczeniu — położył się jakże jasnym blaskiem na istocie odwiecznego hasła Polaków: „Bóg, Honor, Ojczyzna” — hasła, które przyświecało generałowi i nieustannie przyświeca nadal. Cnoty te, spojone gorliwą wiarą chrześcijańską, stały się głównym instrumentarium dokonań tego wytrawnego żołnierza i dowódcy, zarówno w sensie militarnym, jak i etyczno-moralnym. One także sprawiły, iż w momentach najtrudniejszych i najdramatyczniejszych — a los autorowi ich nie oszczędzał, wychodził generał zawsze zwycięsko, a nawet psychicznie i moralnie wzmocniony. Przekonali się o tym nie tylko hitlerowcy, ale również oprawcy z UB i NKWD — arcyministrzowie podłości i zniewalania, którzy nie szczydzili generałowi wymyślnych tortur fizycznych i psychicznych, nie osiągając wszakże żadnych rezultatów. Hart ducha i głęboka wiara cechujące autora okazały się silniejsze. Lektura omawianych szkiców dostarczy Czytelnikowi w tej materii wielu jakże istotnych dowodów. Serwowano generałowi wiele najcięższych więzień, od Montelupich począwszy, przez celę przy placu Inwalidów w niesławnym gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie, Wronki, aż po więzienie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Rakowieckiej w Warszawie, „obdarzono” dwukrotnym wyrokiem śmierci, nie cofnięto się nawet przed umieszczeniem w celi, w której przebywał niemiecki generał, co dowodzi wyjątkowego i wyrafinowanego cynizmu oprawców spod znaku UB, mówiących przecież naszym ojczystym językiem. Ale i te tortury nie złamały generała nawet w najmniejszym stopniu. Sprawiała to głęboka i gorliwa wiara w Boga i Ojczyznę.

Miałem ten wielki honor i zaszczyt być najmłodszym żołnierzem generała „Tysiąca”. Nie znam warsztatu literackiego, toteż słowa te piszę raczej żołnierskim sercem niż piórem znawcy. Mam więc świadomość niedoskonałości mojej recenzji, za co Czytelnika przepraszam najmocniej, prosząc o wybaczenie. Miałem także zaszczyt (choć fragmentarycznie tylko) być lekarzem autora. Jako lekarz i jako żołnierz, z żołnierskiej i profesjonalnej powinności obserwuję mojego pacjenta i dowódcę od ponad pół wieku. Spostrzegam w osobie generała jedyny i wyjątkowy fenomen zachowania pełni wydolności psychofizycznej, zadziwiające zjawisko w tym wieku, zwłaszcza w kontekście ogromu przeżyć niezwykle dramatycznych, jakie były jego udziałem w czasach hitlerowskiej i sowieckiej okupacji, a także w czasach pogardy i zniewolenia. Z medycznego punktu widzenia zjawisko to niespotykane i trudne do interpretacji za pomocą „szkiełka i oka”. Aliści dopiero po lekturze omawianego zbiorku szkiców zrozumiałem je wystarczająco pewnie. Taką siłą witalną, taką jasność umysłu zachować można jedynie dzięki życiu w prawdzie i w wierze. W tej prawdzie i w tej wierze, które pozwoliły wyjść generałowi z największych opresji. Wziął generał na swe barki i sumienie los ponad dwudziestu tysięcy żołnierzy i partyzantów. Wielu z nich padło w walce i chwale dla Ojczyzny, wielu bestialsko zamordowano. Olbrzymią większość swoich żołnierzy generał „Tysiąc” przeprowadził bezpiecznie przez czas hitlerowskiej okupacji, wielokrotnie większą liczbę mieszkańców rejonu działania Inspektoratu AK „Maria” ochronił i ocalił od zatracenia. Czy tego rodzaju i rozmiaru osiągnięcia, jakie stały się za sprawą naszego dowódcy,

byłyby możliwe bez tej przemożnej i głębokiej wiary w Boga i Ojczyznę? Na tak sformułowane pytanie będą zapewne mogli odpowiedzieć sobie sami Czytelnicy po lekturze tej książki.

Czy w tym kontekście może dziwić fakt, iż dla swojego Inspektoratu wybrał generał „Tysiąc” kryptonim „Maria”? Czy mogło być inaczej? Z lektury zbioru przekonana się Czytelnik, że to sprawa oczywista. Była to sprawa prosta, jak prosta jest prawda, i święta, jak święta jest wiara naszego dowódcy. Godzi się wszakże przypomnieć fakt, że kryptonim ten nosiła tylko ta jedna wielka jednostka wojskowa naszej armii zarówno w kraju, jak i na obczyźnie. Z wielką czcią żołnierze „Tysiaca” przyjęli ten wybór dowódcy. Chlubimy się wielce obecnością Marii wśród nas. Czujemy się pod jej matczyną opieką bezpieczni. Tak było w okresie okupacji, tak było w okresie czasów pogardy, tak jest po dzień dzisiejszy. Czuwa nad naszą AK-owską rodziną i nad każdym z nas z osobna. Wiemy dobrze, że dzieje się to z intencji naszego dowódcy i za jego sprawą.

Dokonując publicznego wyznania wiary uczynił to generał „Tysiąc” dla pokrzepienia serc i ducha nie tylko swoich najbliższych, zwłaszcza swoich żołnierzy, ale także dla licznych Polaków. W dobie zamętu, jaki nawiedził nasz kraj, w dobie hałaśliwego frymarczenia przez różnego rodzaju polityków wartościami chrześcijańskimi takie wyznania wiary jest Polakom szczególnie potrzebne. Dla wierzących wyznania to będzie czynnikiem pogłębiającym ich wiarę, dla błądzących i zagubionych będzie światłem w ciemności, dla niewierzących będzie oczywistym dowodem, iż wiara autentyczna i gorliwa czyni cuda.

Zwracając się przeto do żołnierzy „Tysiaca”, choć nie tylko, należy uczynić inwokację: czapki z głów, panowie! Schylmy czoło przed naszym wielkim duchem dowódcą! Przyjmijmy z pokorą do naszych serc ten wspaniały dar generała „Tysiaca” i nie zapomnijmy przekazać go przyszłym pokoleniom Polaków.

Powiedział poeta: „Pan da siłę swojemu ludowi(...)” Przekaz generała „Tysiaca”, zawarty w omawianym zbiorze wspomnień, jest oczywistym wyrazem tej siły. Dowiódł tego nasz generał całym swoim życiem, prawdą, miłością i wiarą gorliwą.

Otrzymujemy książkę potrzebną i cenną, niewielkiej objętości, lecz o dużej wartości — książkę zrodzoną z wiary, miłości i nadziei. Kończąc pragniemy w imieniu autora serdecznie podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do jej przygotowania i wydania, do wyrażenia na jej temat pisemnych i ustnych opinii, którzy nie szczędzili zachęty i poparcia na etapie powstawania. Osobny ukłon należy się pani Romanie Stanikowej („Feli”) i pani Stanisławie Pawowicz, które przedyskutowały z autorem formę i stylistykę pracy, oraz pani Janinie Czubernat, która książkę przepisała.

Stanisław Piwowski

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| WSTĘP | 7 |
| „MATKO CUDOWNNA LEŻAJSKA, ZNANA MI JEST TWOJA ŚWIĘTA ŁASKA” . | 9 |
| NA SZLAKU BOJOWYM 1939 ROKU | 12 |
| W DRODZE DO LWOWA | 16 |
| MARYJA WSKAZUJE MI DROGĘ | 19 |
| MATKA Z JASNEJ GÓRY PRZYCHODZI SWOIM ŻOŁNIERZOM Z POMOCĄ | 30 |
| JEJ NIE MOŻE SIĘ NIC STAĆ!..... | 35 |
| „OJCZE PRZEDWIECZNY, TATUŠKU MÓJ UKOCHANY!” | 38 |
| PAN NASZ KARMIŁ WIĘŹNIÓW SWOIM CIAŁEM I UMACNIAŁ W SOBIE . | 45 |
| NIEPOKALANE SERCE MARYI POCIESZA I UMACNIA..... | 48 |
| MATKA BOSKA PEŁNA RADOŚCI, SZCZĘŚCIA I CHWAŁY..... | 53 |
| POZNAŁEM I DOSTĄPIŁEM MIŁOSIERDZIA BOŻEGO I PRAGNĘ JAK NAJ- LEPIEJ MU SŁUŻYĆ..... | 57 |
| „MIŁOSIERDZIE BOŻE WYŚPIEWYWAĆ BĘDĘ” | 60 |
| TULIPANY RÓWNIEŻ WIELBIĄ MIŁOSIERDZIE BOŻE | 63 |
| NAWRÓCENIE ATEISTY | 65 |
| STAŁO SIĘ ZA PRZYCZYNĄ MATKI MIŁOSIERDZIA..... | 67 |
| BÓG MÓJ I PAN MÓJ | 69 |
| „PODAJĘ LUDZIOM NACZYNIĘ...” | 72 |
| MYŚLI DOJRZAŁE | 75 |
| POSŁOWIE | 77 |

Do rąk Czytelników trafia zbiór szkiców bogato i wnikliwie ilustrowanych materiałem faktograficznym, autorstwa generała brygady Bolesława Nieczuja-Ostrowskiego pseudonim „Tysiąc”, „Bolko” — inspektora Inspektoratu Rejonowego „Maria” i dowódcy 106 Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Wydana w 1991 roku książka pt.: *Rzeczpospolita partyzancka*, tegoż autora, poświęcona jest walkom powstańczym w dorzeczu dolnej Nidy, Nidzicy, Pilicy, Szreniawy i Dłubni, które doprowadziły do utworzenia „Kazimiersko-Proszowickiej Rzeczypospolitej Partyzanckiej”, a potem do sławnej i bohaterskiej jej obrony. Jakże inny charakter nosi zbiór szkiców obecnie prezentowany Czytelnikowi. Tyczy on w głównej mierze aspektów etyczno-moralnych, jakie towarzyszyły autorowi w jego dramatycznym, choć pięknym życiu żołnierza, partyzanta i dowódcy. Jest to publiczne wyznanie wiary, świadectwo miłości, jaką obdarzał autor swoich najbliższych, zwłaszcza wielką rzeszę ponad dwudziestu tysięcy podległych mu żołnierzy i partyzantów, których los wziął w swoje ręce, prowadził ich przez najtrudniejszy okres w najnowszej historii naszego narodu, jest wreszcie zbiór ten świadectwem historycznej prawdy, którą uczynił autor główną dewizą swojego życia. Zbiór tych cnót rycerskich — w najpiękniejszym tego określenia znaczeniu — położył się jakże jasnym blaskiem na istocie odwiecznego hasła Polaków: „Bóg, Honor, Ojczyzna” — hasła, które przyświecało generałowi i nieustannie przyświeca nadal.

GEMINI

ISBN 83-900875-0-2